

BÓL

**czyli Historia Pani Kaliny,
Dorota i inne opowiadania**

NICOLE ZAWŁOCKA

BÓL
czyli Historia Pani Kaliny,
Dorota i inne opowiadania

Słupsk 2007

Wydawca

Starostwo Powiatowe w Słupsku
przy udziale Gminy Słupsk

Sfinansowano ze środków
Gminnego Ośrodka Kultury Gminy Słupsk

Redaktorzy

Zbigniew Babiarez-Zych
Mirosław Kościeński

Projekt okładki
Skład komputerowy
Artur Wróblewski

Ilustracje

Nicole Zawłocka

Korekta

Zbigniew Babiarez-Zych
Mirosław Kościeński

Nakład: 350 egz.

Copyright by Matyllda i Dariusz Zawłoccy

ISBN 83-60228-05-1

Słupsk 2007

Druk

Zakład Poligraficzny GRAWIPOL
Grażyna Zblewska i Sławomir Zblewski Sp.j.
76-200 Słupsk, ul. Poznańska 42





NICOLE!

„Życie tętniło i kwitły rumieńce na twarzach / Był taki czas, lecz nic nam nie dano na zawsze / Tamte wspomnienia w czułości mgłą otulamy”. Te piękne słowa z wiersza koszalińskiej poetki Ireny Peszkin jednak nie zastąpią nam - rodzicom naszej córki, Nicole, która odeszła zbyt wcześnie, mając zaledwie trzynaście lat i pozostawiając po sobie tak niewiele: kilka niedokończonych opowiadań, wierszy, świadectwa z szóstkami i piątkami, dyplomy i wspomnienia, które zawsze nam towarzyszyły.

Nicole była wspaniałym dzieckiem, o którym często mówiliśmy „Nasza Kruszynka” - i to jest prawda. Jej promienny uśmiech, każdego dnia dodawał nam sił. Cieszyliśmy się wraz z nią z każdego jej sukcesu, przeżywaliśmy pierwsze niepowodzenia, porażki, obawy. Swoje pierwsze literackie kroki stawiała jako ośmioletnia dziewczynka - uczennica II klasy. Wtedy właśnie napisała swoje pierwsze wiersze. Potem było ich więcej, powstały też opowiadania, które pisała po to, aby tworzyć wizerunki swych literackich przyjaciół. Wzorami tych opowiadań i wierszy były koleżanki, koledzy, ich rodzice, których znała i lubiła, z którymi spędzała wolny czas. Często myśлами przenosiła się do swojego świata, tworzyła w nim bohaterów swych dziecięcych opowiadań, które jednak wcale nie są dziecięcym wymysłem, lecz dojrzałymi przemyśleniami - opowiadaniem pobudzającym każdego - młodego i starszego do refleksji nad krętymi ścieżkami życia.

Los potraktował nas okrutnie. Nicole nie ma już wśród nas, pozostały tylko zdjęcia, świadectwa szkolne, opowiadania, wiersze. I to właśnie dzięki tym utworom, które znajdują się w tym tomiku, Nicole pozostanie w pamięci nas - rodziców i przyjaciół.

Matylda i Dariusz Zawłoccy (*Rodzice*)

WZBIJAŁA SIĘ WYSOKO JAK PTAK

„Każda przygoda rozpoczyna się w jednej chwili / Każda podróż rozpoczyna się od pierwszego kroku / Każde marzenie ma swój początek w marzycielu / Wszystko jest możliwe jeśli się tylko odważyasz”. Może to właśnie te słowa z wiersza „Marzyciel” Iwony Sławeckiej stałyby się mottem życiowym mojej uczennicy, gdyby była wśród nas. Stało się jednak inaczej. Nicole odeszła z naszego świata i żadne słowa nie oddadzą bólu, cierpienia, rozpaczę uczuć, które ogarnęły mnie i tych, którzy ją znali, po jej odejściu.

Życie doświadcza każdego z nas i uczy pokory wobec jego wyroków, których nikt nie jest w stanie zmienić. Godzimy się z nimi, wiedząc, że pozostaje pamięć... Nicole, którą pamiętam, była młoda, pełna chęci do życia, zawsze gotowa do działania. Ciekawił ją otaczający świat, który tak bardzo kochała i odkrywała jego tajniki każdego dnia wzbijając się wysoko, jak ptak – marzyciel i rozpoczynała nową podróż w życie, w nieznaną, pełen tajemnic świat, w marzenia, które były jej zawsze bliskie i, które pragnęła realizować w swym życiu.

Dziś nie ma Nicole wśród nas! Pozostała jednak w mojej pamięci jako roześmiana dziewczynka w kolorowej sukience wśród różnobarwnych kwiatów na łące, jako skupiona i uważna uczennica na lekcji, gdy jej umysł stawał się królestwem wiedzy. Zapamiętam ją także jako zaangażowaną w poszukiwaniach odkrywczynią wszystkiego, co pozwoliło jej oddawać część siebie tym, którzy pragnęli, aby była w ich sercach.

Elżbieta Mincewicz (*Nauczycielka*)
Szkoła Podstawowa we Wrześciu

POŻEGNANIE Z DZIECIŃSTWEM

Czytając zamieszczone tu opowiadania, bajki, piosenki i wiersze możemy prześledzić okres przechodzenia w życiu od wieku dzieciństwa do świata dorosłych. Jest to o tyle frapujące, że autorka miała nadzwyczajny talent literacki, co możemy zauważyć szczególnie w opowiadaniach. Przyznam, że do takiej precyzji, lotności w budowaniu zdań, opisach sytuacyjnych czy osobowości bohaterów, a najczęściej są to koledzy i koleżanki ze szkoły, wielu autorów dochodzi po latach pisania.

Szkoda tylko, że młoda, ba – bardzo młoda osoba, mająca talent pisarski nie trafiła pod skrzydła fachowców, literatów, choćby do słupskiego starostwa, do grupy „Wtorkowych Spotkań Literackich”. A o tym wspominają rodzice i nauczyciele w słowach wstępu przywołując cytaty z wierszy Ireny Peszkin z Koszalina czy Iwony Sławeckiej z Kobylnicy, członków grupy.

Jak już wspomniałem autorka jest znakomitą obserwatorką, w sposób nad wyraz dojrzały i sprawny literacko, wręcz poetycki opisuje drobne szczegóły, tak otoczenia jak i nastroju, co możemy wychwycić w najlepszym opowiadaniu pt. „Historia Pani Kaliny”. Pożar, relacje między córką i matką oraz finałowe „przepraszam” robią spore wrażenie.

Jest drobiazgowa wyszczególniając bardzo dokładnie, kto, jaki stopień otrzymał z odpowiedzi na lekcji czy z klasówki. Można podejrzewać, że systematycznie – co charakterystyczne dla inteligentnych i wrażliwych dziewcząt w tym wieku – prowadziła pamiętnik. Opowiadanie, a szczególnie motyw wulgarnego zachowania Mateusza, brata głównej bohaterki Doroty nie ma pointy. Wydaje się, że opowiadanie jest przerwane w pół zdania...

Pożegnanie z dzieciństwem zauważamy w bajkach. W klasycznej bajce pt. „Biedna kobieta”, gdzie wszystkie elementy

komponują się wręcz wzorcowo zaskakujący jest morał. Cała opisana sytuacja o biedzie kobiety i jej rodziny, głodzie i dobrym pomidorze, który chce pomóc spełniając życzenia – kończy się fatalnie. Pomidor ucieka sprzed gotującego się garnka, jednak spada w czasie skoku z kamienia i rozpląszcza się na ketchup. „Taki był los dobrego pomidora i głupiej gospodyni” – reasumuje młoda pisarka. Zaiste zaskakujące.

Można stwierdzić, że każde opowiadanie w trakcie jego czytania narzuca u Czytelnika podświadome rozważania o cienkiej granicy między życiem a śmiercią, między trwaniem a kruchością tego świata. Ma się wrażenie, że autorka śpieszyła się pisać.

Mimo pewnej nieporadności warsztatowej urokliwe są wiersze o matce. Rzadko się zdarza wśród dzisiejszej młodzieży, by tak tkliwie, a jednocześnie tak świadomie i szczerze wyrażać miłość i podziękowanie rodzicom za wydawałoby się rzecz najprostszą – danie życia. Za uśmiech i codzienność, za ciepłe buty czy śniadanie.

Siedemnastowieczny, narodowy poeta japoński Matsuo Bashō (1644 – 1694), mimo że już był ciężko chory, nie przestawał pisać i wędrować po zachodnich prowincjach Kraju Kwitnącej Wiśni. I będąc w podróży umarł – tak jak chciał. Pisał:

„Chory w podróży
śnię że polem wymarłym
biegnę bez końca”

Jestem przekonany, że po tym polu, tyle że nie wymarłym, a niebiańskim polu literatury biega Nicole. I wciąż przekracza swój mały Rubikon między dzieciństwem a życiem dorosłym.

Mirosław Kościński

OPOWIADANIA

DOROTA

Smutny deszczowy poniedziałek nie zapowiadał się pozytywnie. Za oknem szalał wiatr, który rozganiał wielkie krople deszczu na wszystkie strony. Mały pokój z drewnianymi okienkami był bury i szary. Obrazy i zdjęcia na ścianach wydawały się być smutne i znużone, jak cała reszta. Niedomknięte drzwiczki szafy dawały ogromny cień na biurko i granatowe krzesło. Na szybie biblioteczki odbijały się cienie kropli deszczu. Nagle na szafce nocnej zatrzęsł się budzik i zaczął dzwonić bez optymizmu i nadziei, że ktoś go wyłączy, bo przecież, w taką pogodę nikomu się nie chce wstać. Pomimo to, spod przykrycia na łóżku wynurzyła się rozczochrana głowa dziewczyny, która ledwo otwierała oczy z niewyspania. Po chwili wynurzyła się ręka i wyłączyła budzik. Postać przeciągnęła się i wstała. Jej małe stopki opadły na kolorowy chodniczek przed łóżkiem.

- Co Roksi? - rzekła co chwilę ziewając dziewczyna i odwracając się do małego pudełka po butach, gdzie leżał pies. - Co za psia pogoda! Nie pójdziemy dziś na spacer, nie?!

Pies zaskomlał. Jego wielkie zielone ślepka zwróciły się ku pani podchodzącej do okna. Pani podeszła do pudła i wzięła futrzaka na ręce.

- Widzisz? - rzekła pokazując strumienie wody płynącej po oknie. - W taką szarugę, to żadna przyjemność. Tylko zmokniemy.

Uśmiechnęła się do pieska i opuściła go na podłogę.

- Dorota już wstałaś? - zapytała mama dziewczyny, która tak właśnie miała na imię - Dorota.

- Tak mam - odparła. - Co za pogoda?

- Niestety. Skoro jest słońce, musi być i ślota. Ubieraj się. Za chwilę śniadanie.

Mama weszła do pokoju obok, by obudzić Mateusza, brata Doroty.

- Ty jeszcze nie wstałeś? - krzyknęła ściągając chłopaka z łóżka. - Zaraz śniadanie! Nakarm tę swoją mysz, bo jest niemożliwa. Lata jak opętana.

Chłopak przeciągnął się i przebrał ziewając. Sypnął myszce pokarmu i wszedł do kuchni, gdzie wszyscy już na niego czekali.

- No pospiesz się! - poganiał ojciec.

- No przecież idzie, Wiktorze. Nie czepiaj się go tak - rzekła mama do taty.

- Włożyłeś koszulę na lewą stronę! - śmiała się Dorota.

- Co z tego? - powiedział opryskliwie.

- Nie kłóćmy się przy śniadaniu - zarządziła rzeczowo mama. - Mateusz popraw koszulę! Smacznego!

Wszyscy jedli w pośpiechu, szybko, z obawy, że nie zdążą do pracy - w przypadku taty, szkoły - w przypadku dzieci lub sklepu - w przypadku mamy.

- Dziękuję! - odezwał się głos ojca.

Mężczyzna wstał i założył płaszcz.

- Podwiesz nas do szkoły? - zapytała Dorota. - Jest taka pogoda, że na przystanku na pewno się przeziębimy.

- Dobrze! Pośpieszcie się!

Dzieci zjadły i wśliznęły się w płaszcze. Pożegnały się z mamą i pojechały do szkoły. Gdy dojechali, tata zapytał się: - Kiedy kończycie?

- O drugiej! - odpowiedział Mateusz. Oboje kończyli o drugiej, bo byli bliźniakami, choć dwujajowymi, ale zawsze. Jeszcze jak na złość przydzielili ich do jednej klasy.

Wysiedli z samochodu.

- Jaką masz pierwszą lekcję? - zapytał brat.

- Angielski! - odparła Dorota bez entuzjazmu. Zaraz po tym zabrzmiał dzwonek. Weszli do klasy numer 102 i usiedli w ławkach. Dorota z Ewą, a Mateusz z Damianem. Ledwo zdążyli się rozpakować, do klasy weszła pani Mirecka. Była to szczupła

kobieta, o krótkich czarnych włosach.

- Good morning! - rzekła przyjaźnie.
- Good morning! - odparli uczniowie.
- Marcinku zapisz temat lekcji: „Klasówka”.

Wszystkim wyszły oczy z orbit. Przecież nie zapowiadała klasówki.

- Marcin rozdaj kartki przy okazji. Proszę się podpisać: Imię, nazwisko, klasa, grupa, numer w dzienniku.

Klasówka była trudna. Trwała do końca lekcji. Wychodząc z klasy wszyscy rozmawiali, jak im poszło.

- Dorota, jak tam? - pytała Ewa.
- Weź przestań! Nie wiem, czy załapię się na trójkę? A ty?
- Też mi dobrze nie poszło. Ale co będzie, to będzie!
- To niesprawiedliwe! Nie zapowiedziała klasówki! - nie dawała za wygraną Dorota.

- No niestety - zamyśliła się Ewa. - Może przyjdiesz dzisiaj do mnie?

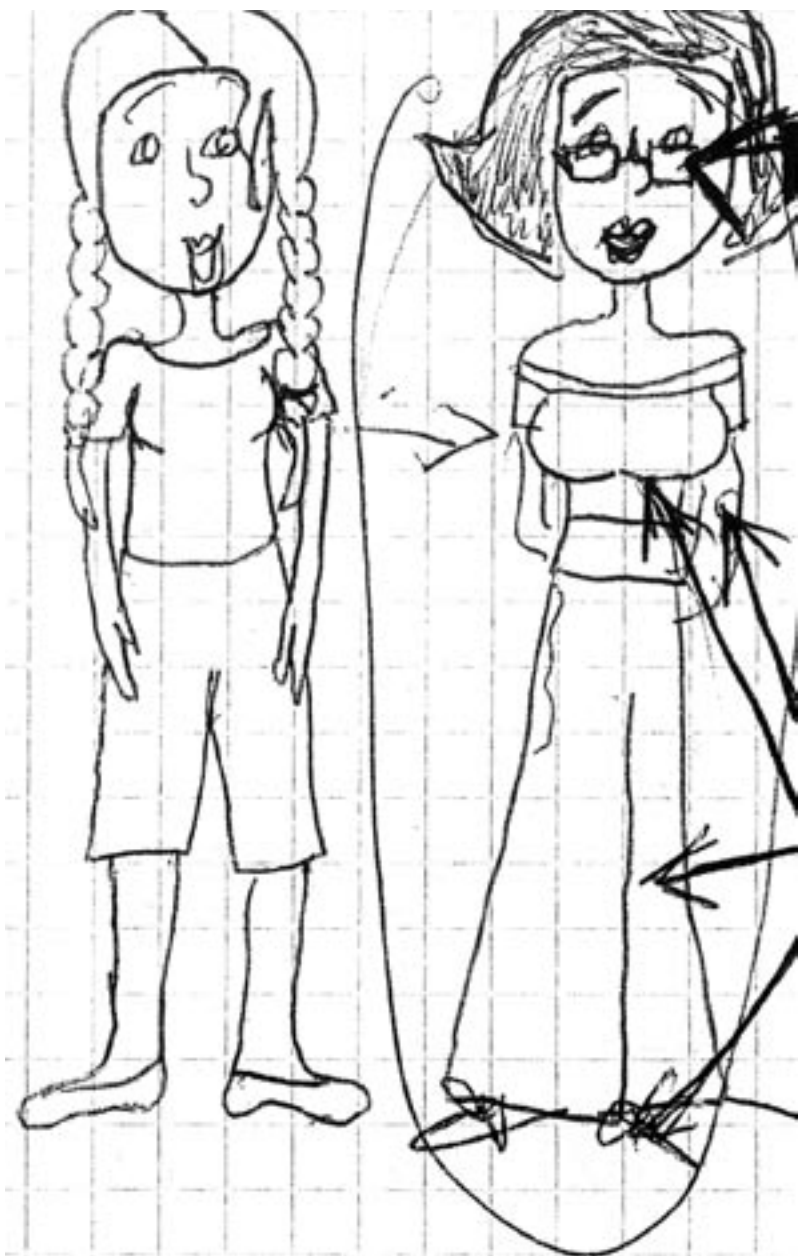
- No nie wiem. Jak nam dużo zadadzą?...
- To odrobimy razem! Przyjdź, proszę!
- No dobrze - zgodziła się Dorota.

Poszły w głąb korytarza do sali 96, gdzie miała odbyć się religia. Położyły plecaki pod klasą. Wtem otworzyły się drzwi i wyszła Siostra Faustyna.

- Szczęść Boże! - zawołała radośnie, niska kruchej budowy zakonnica o nienagannej urodzie.

- Szczęść Boże! - odpowiedziały.
- Wejście do klasy, dziewczęta - powiedziała radośnie.

Dziewczyny skorzystały z zaproszenia i przygotowały się do lekcji. Gdy zadzwonił dzwonek, Siostra Faustyna poprosiła Ewę, by rozpoczęła modlitwę. Po odmówieniu jej, Siostra Faustyna zaczęła nauczać o miłosierdziu. Nagle od głowy Doroty odbiło się coś. Odwróciła się i zobaczyła, że to samolocik.



- Kto to rzucił? - zapytała Siostra.
- Mateusz! - odpowiedziały chórem dzieci.
- To prawda?
- Nie! - bronił się.
- Podejdź tu... - Siostra była zdenerwowana.

Czerwony Mateusz podszedł.

- Nie wstyd ci rzucać we własną siostrę na religii? Mateusz nie spodziewałam się tego po tobie. Kto jest waszym wychowawcą? - zwróciła się do klasy.

- Pani Asterska! - zgłosiła się Ewa.

- Mateusz, czy mam z nią porozmawiać? Postaw się w mojej sytuacji. Co byś czuł? Co byś zrobił? Czy uważasz swoje zachowanie za poprawne?

- Ale Siostro, to nie ja!

- W takim razie, kto?

- Emil!

- Nieprawda! - odezwał się posądzony.

- Ja widziałem, że to Mateusz - odezwał się czyjś głos.

- Ja też... - odezwał się drugi.

- I ja...! - trzeci.

- Przykro mi Mateuszu. Większość klasy posądza ciebie. Nie mogę... - Siostra nie dokończyła, bo przerwała jej Dorota.

- Dlaczego to zrobiłeś?!!! - wrzeszczała wybiegając z klasy.

- Dorotko!!! - krzyknęła Siostra wybiegając z klasy za dziewczyną, lecz ona na nią nie zważała. Biegła przed siebie, nie myśląc. Miała pustkę w głowie. Na myśl nasuwały się jej pytania: „Jak on mógł?”, „Co ja mu zrobiłam?”, „Dlaczego?” Sama nie wiedziała, dlaczego zareagowała tak emocjonalnie. Wbiegła do łazienki, osunęła się po ścianie i szlochała.

Tymczasem Siostra Faustyna wróciła do klasy i do końca lekcji pouczała Mateusza. Wkrótce zadzwonił dzwonek i Ewa poszła do łazienki, gdzie zastała Dorotę. Podeszła spokojnie.

Starala się nie być wścibska, ale zapytała jednak: - Dori, co jest? Dorota! Hej! Spójrz na mnie...

- Nie wiem... - burknęła. - Ewa, ja sama nie wiem, co się ze mną dzieje?

- Boli cię coś? - dopytywała się koleżanka.

- Nie. Ale nie mogę uwierzyć, że to on. Był dzisiaj dla mnie taki miły...

- Oj, nie przejmuj się! Dostał za swoje. Otrzyj łzy i choć, bo zaraz informatyka. Będziemy robić drzewo genealogiczne.

Dorota uspokoiła się. Nie odzywała się do brata. Tak przeminęły jeszcze dwie godziny: informatyka i język polski. W drodze powrotnej, w autobusie usiadła na samym końcu, bo Mateusz usiadł na początku. Gdy wrócili do domu, rodziców nie było. Oboje byli w pracy. Ich mama była krawcową, a tata architektem. Dorota zrobiła sobie kanapkę, wbiegła do pokoju, zamknęła się i padła na łóżko, pieszcząc Roksi.

- Cześć Ewka! Przyjdiesz do mnie? Nie mogę poradzić sobie z fizyki.

- Słuchaj, to proste. Pomogłabym ci, tylko mam szlaban za pałę z polskiego i nie mogę wychodzić. To może ty do mnie przyjdiesz? - zaproponowała Ewa.

- Nie ma sprawy. Mam propozycję: ty zrobisz mi z fizyki, a ja napiszę ci z polaka wypracowanie.

- Super! Zgadzam się - ucieszyła się kumpelka.

- Zaraz u ciebie będę - włączyła się Dorota. Wzięła plecak pod pachę i napisała kartkę Mateuszowi: „Jestem u Ewy, wróć o 17:00”. Wskoczyła w adidasy, rozłożyła parasol i pobiegła na ulicę Konopnickiej do wysokiego bloczyska na piąte piętro, na koniec korytarza, do dużych brązowych drzwi z wizytówką

„J. M. D. E. Michałowscy”. Nacisnęła dzwonek i w drzwiach pojawiła się pani Milena - mama Ewy.

- Zastałam pani córkę? - zapytała zasapana.

- Dzień dobry Doroto. Tak, jest Ewa. Wejdz.

Zdjęła buty, powiesiła kurtkę i przebiegła przez drewnianą kuchnię do korytarzyka. Zapukała w małe, białe drzwi, gdzie z kolorowego papieru wycięte były litery: „POKÓJ EWY”.

- Wejdz Dorota - usłyszała.

- Cześć, co jest? Dobra, daj mi kawałek kartki, to ci napiszę z polskiego, a ty napisz mi z fizy. Aha! Tylko trochę inaczej niż sobie - od progu trajkotała Dori.

- Wiesz, co Dorota? To dla mnie zbawienie, że ciebie mam!

- cieszyła się Ewa. - Jak dostanę piątkę z polskiego, to mama zdejmie mi szlaban!

- Cieszę się, że mogę ci pomóc! Pisz, pisz!

Po piętnastu minutach, Ewa rozwiązała pięć zadań z fizyki, a Dorota kończyła wypracowanie.

- Proszę, przepisz sobie! - wręczyła karteluzskę Ewa.

- Ja też już skończyłam! - krzyknęła tryumfalnie Dorota.

- Może zrobimy teraz z matmy?

- A może przerwa? Mam ptasie mleczko i colę!

- Nie mogę, na piątą muszę być w domu.

- Nie ma sprawy!

Zrobiły z matematyki i z niemca. Po czym wskazówki zegara pokazywały szesnastą czterdzieści pięć.

- Ewa, ja muszę już iść!

- Właściwie, co cię tam goni?

- Muszę posprzątać salon, zanim mama wróci z pracy - westchnęła. - Trudno, naprawdę muszę. Puszczę ci strzałę o północy.

- Dobra. Albo lepiej o szóstej, to mnie przy okazji obudzisz.

- Nie ma sprawy! Cześć!

- Na razie! - odpowiedziała Ewa.

Dorota poszła do domu. Kiedy weszła na ganek, zobaczyła mokrą Roksi.

- Mateusz! Ty głupku, dlaczego nie wpuściłeś Roksi do domu?

Cisza. Kiedy otworzyła drzwi od pokoju, nikogo nie było. Posprzątała, więc salon. Gdy skończyła zadzwonił dzwonek.

- Kto tam? - zapytała przezornie dziewczyna.

- Mama - odezwał się głos.

- Hasło?! - zapytała w umówiony sposób Dorota.

- Kornefiglemagle. Wpuść mnie Dorotko, mam ciężkie siatki.

Dla bezpieczeństwa Dorota zerknęła przez judasza i otworzyła.

- Cześć mamo! Jak tam w pracy?

- Cześć córciu! Wszystko w porządku. A w szkole?

- Dobrze. Tylko Mateusz wygłupiał się na religii i rzucił we mnie samolocikiem z papieru.

- Ja z nim sobie porozmawiam. Gdzie on jest? - zapytała zła mama.

- Nie wiem, wyszedł z kolegą o drugiej i do tej pory go nie ma.

- Lekcje odrobiłaś? Posprzątałaś salon?

- Tak - odpowiedziała Dori.

- Dzisiaj na obiad będzie spaghetti.

- Świetnie - ucieszyła się córka.

- Proszę, to dla ciebie - mama wręczyła Dorocie kieszonkowe. - Mam karmę dla Roksi. Boże, gdzie ona była, że tak zmo-
kła? Umyj ją, dobrze Dorota?

- Oczywiście mamo.

Wypełniła polecenie. W kuchni zaczęło ładnie pachnieć, więc zmysły przywiodły ją tam.

- Spaghetti już gotowe, a jego nie ma! - zaczęła martwić się mama. - Nie wiesz jak nazywa się ten kolega z którym poszedł?

- Jaszczur... - odparła bez zastanowienia córka. - To znaczy... tak go przezywają. Imienia nie znam, ale wiem jak ma na nazwisko: Krosny.

- Hymn... Zadzwoń do domu, do nich. Mam książkę telefoniczną. K, k, k. Gdzie...? I, J, K! Kra..., Kre..., Krosny!

Zadzwoiła, a w tym czasie Dorota nakryła do stołu. Gdy odłożyła słuchawkę rzekła: - Rozmawiałam z jego mamą. Ma na imię Łukasz. Nie ma go w domu. Też się bardzo martwi. Wziął z sobą komórkę?

- Nie! - powiedziała Dori bez entuzjazmu.

Zjadły obiadokolację we dwie, po czym zaczęły oglądać telewizję chrupiąc chipsy. Około ósmej wieczorem zadzwonił telefon. Mama dopadła się do telefonu: - Mateusz? Nie? Och, przepraszam - spieszyła się. - Nie, nie ma go. Nie przyszedł. A pani syn? Też nie? Wie pani, strasznie się martwię. Rozumie mnie pani? - chwila ciszy. - Oczywiście. Dam znać. Dobranoc! - odłożyła słuchawkę. - Wiesz, Dorotko, idź już spać. Możesz sobie poczytać. Dobranoc!

- Dobranoc!

W tym czasie do pokoju wszedł Mateusz.

- Zostawiłaś mi obiad? - zapytał jakby nigdy nic.

- Mateusz!!! - zawołała ucieszona mama. Po chwili spoza drzwi.

- Czyś ty zwariował? Wiesz, która jest godzina? Dwudziesta trzydzieści! A wyszedłeś o czternastej. Wiesz jak się martwiłam? Gdzie byłeś? Z kim? Ze skóry wychodziłam! Bardzo źle postąpiłeś! I ten dzisiejszy występ z samolotem! Masz karę! Szlaban na komputer, spotkania, słodczyce i przez miesiąc nie dostaniesz kieszonkowego!!! Rozumiemy się?!

- Tak - udał skruczę chłopak.

- Lekcje odrobione? Mówię do Ciebie!!! Odpowiedz!!!

- Tak - skłamał.

- W takim razie spać! Jutro sobie porozmawiamy! Dobranoc! Aha! Requiruję ci telefon. Chyba nie będzie ci potrzebny. Wolkmen też nie.

Następny dzień był słoneczny, ale wietrzny. Dorota wstała o szóstej, puściła Ewie strzałkę, umyła się, chwyciła w biegu suchara i popiła mlekiem, po czym pobiegła na przystanek, nie patrząc na brata, który dopiero kończył się myć. Za pięć minut przyjechał autobus. Mateusz ledwo zdążył. Dorota oczywiście siadła z Ewą. Dzieliła się przeżyciami z wczoraj. Pierwsza lekcja - fizyka. Profesor Krędziwił wszedł do klasy.

- Może zanim zapiszemy temat lekcji, do odpowiedzi numer... dziewięć!

- To ja - rzekła Dorota z biciem serca.

- Pokaż mi swoją pracę domową - poprosił nauczyciel. - Sama robiłaś?

- Tak - musiała skłamać uczennica.

- Dobrze, piątka. Tylko tak dalej. Może sprawdzimy... dziesiątkę!

- Ja nie mam - odezwał się Mateusz.

- Dlaczego tego nie zgłosiłeś, chłopcze? Miałeś szansę. Trudno... niedostateczny.

Na polskim Ewa zgłosiła się i dostała piątkę, a Dori szóstkę. Po kartkówce z angielskiego, Dorota miała trójkę, Ewa trzy minus, a Mateusz dwa plus. Na długiej przerwie, Dorota otworzyła plecak i ujrzała, że ktoś podrzucił jej karteczkę z numerem telefonu. Anonimowy. Kiedy zadzwoniła, okazało się, że to żart Jaszczura. Skończyli lekcję o piętnastej.

- Co Mateusz, mama chyba nie będzie zadowolona z twoich dzisiejszych ocen? Ho, ho, ho! Pała i dwójka plus! I pała z fizyki... u ciebie? Piątkowego ucznia? Co jest braciszku? - błaznowała Dorota, gdy wrócili do domu.

- Zamknij dziób, siostrzyczko! - odgryzł się. - Wychodzę

na chwilę. Zaraz wracam. O której wraca mama?

- Ale Mateusz, masz szlaban!

- Spróbuj powiedzieć mamie! - groził brat.

- O czwartej... - odpowiedziała Dori.

Mateusz wskoczył w trampki i zamknął za sobą drzwi. Dorota postanowiła odrobić lekcje. Zrobiła wszystkie lekcje, oprócz fizyki. Zadzwoiła do Ewy:

- Cześć Ewa, tu Dorota!

- Cześć, czyżby kłopoty z fizyką? - zapytała koleżanka.

- Strzał w dziesiątkę! Może podrzucę ci ćwiczenia z gramatyki?

- Wiesz, chyba się nie obrażę - żartowała Ewa. - Przychodź szybko Dori! Cześć! - dodała już całkiem na poważnie.

Dorota ubrała swój niebieski wełniany sweter od babci, adidas i chwyciła ćwiczenia z gramatyki. Gdy wyszła przed dom, wsiadła na rower i jak wczoraj pojechała na ulicę Kopnicką, do wysokiego bloczyska na piąte piętro, na koniec korytarza, do tych samych brązowych drzwi. Zapukała. Otworzyła jej Ewa.

- Cześć Dorota! Wejdiesz? - zapytała.

- Nie, nie, nie mogę, zostawiłam Roksi w domu. To dla ciebie - powiedziała przekazując jej ćwiczenia z gramatyki.

- A to kartka z pracą domową z fizyki i ze ściągami na najbliższą kartkówkę - powiedziała Ewka.

- Dzięki. Umówimy się na jutro. Ty puszczasz mi strzałę, przychodzisz do mnie i się wymieniamy. Okay?

- Dobra! Na razie!

- Hej! - krzyknęła Dorota i wróciła do domu. Postanowiła, że rozczesze Roksi. W końcu to „shilky terier”. Od biegania po parku obluzowała jej się kokardka.

Po wykonaniu pracy zerknęła na zegarek. Była godzina piętnasta czterdzieści pięć.

- Przecież ten Mateusz jest niemożliwy. Chyba znowu chce dostać od mamy operę! - pomyślała Dorota. Włączyła telewizor.

„... super klapki likwidują...” - przełączyła - „... w wypadku zginęło...” - następny program - „... och Wilhelmie, jaki piękny dzień!...” - i znów następny - „... przyznajemy cztery punkty...” - teleturniej też poszedł w odstawkę - „... woda źródłana Nałęczowianka dostar...” - przełączenie - „... Panie Prezydencie...” - następny - „... i Gool!!!” - wyłączyła.

- Nie ma nic, niby tyle kanałów, a w telewizji wielki guzik!!!

Zadzwoił telefon. Dorota podbiegła do telefonu. Na ekraniku jej komórki wyświetlił się napis „MAMA DZWONI”. Odebrała. Okazało się, że matka chciała poprosić o to, by jej córka zrobiła pranie, bo ona sama wróci godzinę później. Wzięła się za pranie. Kosz był pełny.

- No cóż, trzeba posprawdzać czy nikt nie zostawił czegoś w kieszeniach.

Na wierzchu leżały spodnie Mateusza. W kieszeni znajdowała się paczka po papierosach! To być może nie wzbudziłoby podejrzeń siostry, ale całe spodnie cuchnęły dymem.

- Przecież, gdy mama się dowie lub tata, to kaput! Co się dzieje z Mateuszem? Zaczęło się tak niewinnie: samolocik, który uderzył mnie w głowę, później długie wyjście, a teraz... papierosy. O Boże! Muszę go ratować!!! - myślała sobie, że nic „prawie nikomu nie powie”. Jednak czuła potrzebę rozmowy. Komu ufa i kto jej doradzi? Rodzice odpadają, Ewa też. Może ktoś z nauczycieli...? Tylko żeby nikomu nie powiedział... Dorota pomyślała o Siostrze Faustynie, lecz dalsze rozmyślenia przerwał jej dzwonek do drzwi.

- Kto tam? - zapytała jak zwykle.

- Archanioł Gabriel! - usłyszała głos brata.

- Kto?!!! - pytała ponownie.

- Jak myślisz? - droczył się.

- Kto tam?

- Hipopotam... - zrywał boki Mateusz.

- Pytam po raz ostatni...

- Mateusz Makłowski. Twój brat!

- Hasło? - pytała tak specjalnie zła na brata.

- Kornefleglemagle! Otwieraj! Sterczę tu jak osioł!

Zerknęła przez judasza, otworzyła drzwi i odeszła.

- Dorota, jest matka?

- Mamy nie ma. Prosiła żebyś się pouczył - zakomunikowała pytana.

- Czy ona och...ła?! - przeklął.

- Zapytaj się jej! - Dorota trafiła w sedno.

Gdy zrobiła pranie, przyszła mama.

- Mamo, mogę iść do Ewy? Ma nowy film. Czy mogę obejrzyć u niej? - skłamała dziewczyna, by móc się wymknąć z domu.

- Dobrze! Dorotko - odpowiedziała mama.

Lecz kroki Doroty pokierowały się na małe wzgórze, gdzie stał Kościół Miłosierdzia Jezusowego. Weszła do niego. Było prawie pusto. Pewna starsza pani modliła się, a pani Popierska mówiła różaniec. Na chórze Siostra Faustyna grała na organach. Gdy ją ujrzała powiedziała:

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

- Och! Dorota! Co się stało?

- Siostrze, chciałam z Siostrą porozmawiać!

- O co chodzi? - Siostra była gotowa udzielić rady.

- Niech Siostra obieca, że nikomu nie powie.

- Obiecuję! - złapała się za serce zakonnica.

- Chodzi o mojego brata Mateusza. Bardzo się o niego martwię. Ostatnio bardzo się zmienił. Brzydko się odzywa, do mnie, mamy, taty, wszystkich. Ale to nie wszystko. Kiedyś znikł na cały dzień i wrócił dopiero wieczorem. Mama bardzo się martwiła, a on nawet nie przeprosił. Zbiera bardzo złe oceny.

Z wielu przedmiotów, między innymi z fizyki. Wczoraj i dziś dostał jedynekę, lecz wcześniej był najlepszy w klasie. I najgorsze - podejrzewam, iż pali papierosy. Dziś przypadkowo w kieszeni jego spodni znalazłam paczkę po papierosach. Poza tym spodnie pachniały dymem i nikotyną. Siostro! Niech Siostra mi powie, co mam robić? - skończyła błagalnie Dorota.

- Och! Zaskoczyłaś mnie Dorotko - rzekła Siostra Faustyna. - Oczywiście wiedziałam, że zrobił się dziwny, chociażby z tą sytuacją na religii, ale papierosy? Nie podejrzewałam go o to. Obawiam się jednak, że na to ma wpływ jego nowe środowisko. Jesteś w pierwszej klasie gimnazjum. Wiesz jak to jest, nowe miejsca, nowi koledzy. Mogłabyś go jakoś przekonać, ale jak znam życie - na wiele się to nie zda. Mógłby go przekonać ktoś z jego otoczenia. Z tej paczuski, która pali i pokaże, że można mieć klasę bez palenia, picia i ćpania. Na razie jednak powiedz rodzicom - radziła.

- Nie mogę im powiedzieć, Siostro. Muszę sama mu pomóc i mam chyba już plan. Jednak nie zdradzę jego szczegółów. Powiem tylko, że wysłucham rady Siostry. Bóg zapłać za rozmowę.

- Nie ma, za co. Jeżeli będziesz miała jakieś kłopoty, to - chwila namysłu - wal do mnie jak w dym. - Chyba tak to się teraz mówi - roześmiała się. - Z Bogiem! - dodała na serio.

- Z Panem Bogiem! - Dorota pobiegła do domu.

Usiadła przy biurku i rozmyślała: Ktoś z jego otoczenia, hymn, to nie ja, ktoś nowy. Ale i tak ja. Wiem! Muszę przebrać się za inną dziewczynę i wejść w ich towarzystwo. Tak, muszę sobie kupić: okulary - przezroczyste, perukę - najlepiej czarną lub blond, bo ja mam brązowe włosy. I dobrze by było gdyby była krótka. Zmywalny tatuaż, nowe ciuchy - buty, ubrania. Przecież muszę się różnić. Wybrać imię - Justyna! Tylko szkoda, że nie mam pieniędzy. W skarbonce „świniec” jest tylko 50

złoty, a potrzeba: peruka - 700 złotych, okulary - 10 złotych, zmywalny tatuaż - 5 złotych razy 3, równa się 15 złotych, nowe ciuchy 50 złotych. W sumie potrzebuję 775 złotych. Skąd ja wezmę kasę? Najlepiej, żebym sama ją zarobiła. Mogę: roznosić gazety, skręcać długopisy. Hymmm, to trochę mało!

Dorota wzięła gazetę z ogłoszeniami. Interesujące ją oferty zakresliła w kółko: „Zatrudnię korepetytora z języka polskiego - cena do uzgodnienia, możliwość dojazdu na miejsce” oraz „Kupię książki do szóstej klasy szkoły podstawowej po przystępnej cenie.” Poza tym wszyscy autorzy i wydawnictwa się zgadzały. Ponadto nie było żadnych ciekawych ofert jak dla niej. Wzięła telefon i postanowiła zadzwonić. Najpierw ogłoszenie o korepetycjach.

- Dzień dobry, ja dzwonię z ogłoszenia - zaczęła stanowczo dziewczyna.

- Tak, witam panią - odezwał się głos.

- Zainteresowany pan jest korepetycjami, do której klasy?

- Trzecia gimnazjum, ale...

- Och, to chyba będzie niemożliwe - przerwała lekko speoszona Dorota.

- No cóż, bardzo mi przykro.

- Więc przepraszam za kłopot. Do widzenia!

- Dziękuję. Do widzenia! - odrzekł rozmówca i wyłączył się.

Trochę kiepsko jak na początek. Może to drugie ogłoszenie.

- Dzień dobry, ja w sprawie ogłoszenia.

- Och tak? To fantastycznie. Czy wszystko, co do autorów i wydawnictw się zgadza?

- Tak, oczywiście proszę pani.

- A czy stan podręczników jest dobry?

- Oczywiście, nie są jak nowe, bo jestem drugą właścicielką, ale mi są pomocne. Zamierzam pospuszczać z tych mniej przystępnych pół ceny.

- Aha, aha. A adres zamieszkania?
- Toruń, ulica Marii Konopnickiej 12/6.
- Och, w takim razie mieszkamy w tym samym mieście -
ucieszyła się kobieta.

- To może umówimy się na spotkanie? Ja pokazałabym
pani książki, przedstawiłabym propozycje cen i w ostateczności,
kupiłaby pani książki - rzeczowo rozmawiała Dorota licząc,
że zgarnie choć trochę pieniędzy.

- Dobrze. W takim razie, kiedy i gdzie?

- Czy odpowiada pani po jutrze, w kawiarni „Słonecznej”,
na ulicy Czesława Miłosza?

- Tak, ale wtedy o piętnastej trzydzieści. Dobrze?

- Zgoda. Ja przyniosę książki i się wtedy rozmówimy, no
wie pani. Tylko proszę na pewno być.

- Będę na pewno. Dziękuję, do zobaczenia.

- Do widzenia - wyłączyła się dziewczyna z radością, że
wpadnie jej parę groszy.

Później całe popołudnie przeznaczyła na czyszczenie, wycenia-
nie książek i ewentualne rabaty. W sumie wyszło jej 350 złotych.

Zadzwoiła później, by się zgłosić do „Klubu skręcaczy
długopisów” i poszła na pocztę prosić, by zapisali ją na listę
roznosicieli gazet. Przy okazji kupiła sobie gazetę. Wieczorem
po kolacji, zostało jej jeszcze trochę czasu na poczytanie kupio-
nej gazety. Główny temat: „Jak możesz zarobić?”

Przeczytała, że można sprzedawać własne wyroby i wpadła
na pomysł: „Przetwory babuni”. Rozwiesi ulotki, zorganizuje
sobie miejsce na jarmarku i będzie sprzedawać. Za produkty i
robociznę babci się zwróci, a reszta dla niej. Następnie zrobiła
kilka figurek z masy solnej „Pozdrowienia z Torunia”. Pomyśla-
ła, że dorobi jeszcze. Ewa będzie sprzedawać te swoje obrazki
na szkłe. Wejdzie w spółkę z babcią i... zarobi!

Zadzwoiła do babci. Ta była bardzo zdumiona, lecz po

pół godzinnej dyskusji, zgodziła się. Potem zadzwoniła do Ewci, która to jak manny z nieba, też potrzebowała zastrzyku finansowego.

Następny dzień był słoneczny i upalny. Rzadko się tak zdarza, że nie wiadomo skąd przychodzi taki upał. Dorota wstała o tej porze, co zwykle. Poszła do kuchni. Mamy nie było w domu, bo podobnie jak tata, poszła do pracy. Idąc do jadalni z dwoma talerzami płatków, zapukała do pokoju Mateusza. Cisza. Gdy wróciła po zanieśieniu płatków, zapukała ponownie. Jeszcze raz i jeszcze.

- Zamknij mordę, Dorota! Daj mi spać! - krzyknął zaspającym głosem brat.

- Nie idziesz do szkoły? Zaraz autobus... - rzekła wchodząc do pokoju.

- Nie idę do szkoły. Po ch... mam tam iść? - odpowiadał coraz to wulgarniej chłopak.

- Jak chcesz, twoja sprawa - udawała siostra, że nic to ją nie obchodzi.

- Aha, jak powiesz starym, to ci krocze wykastruje! Słyszysz? - darł się Mateusz. Jeszcze nigdy tak nie robił. To było do niego nie podobne. Dorota szybko zjadła i wybiegła na przystanek dużo wcześniej, bo nie chciała słuchać, jak brat ją przeklina i wyzywa od różnych. Bo nie daje mu się wyspać. Była bardzo zestresowana. - Nikt nigdy jeszcze nie mówił o mnie w taki sposób - pomyślała. Kiedy stała na przystanku, dzwięczało jej w głowie, że jest taka i taka. Podczas jazdy autobusem, szumiały jej w głowie przekleństwa. Gdy wysiadała, o mało się nie przewróciła z zamyślenia. Czuła, że nie jest dziś zdolna do myślenia i koncentracji. A pierwsza lekcja, to fizyka...

- No, nie! - powiedziała. Zadzwonił dzwonek.

DWIE SIOSTRY

W pewnym mieście, niekoniecznie bogatym, stał ogromny dom. Zresztą ciężko nazwać go domem, to był pałac. Zamieszkiwało w nim pewne małżeństwo i dziesiątki podwładnych. Do nich właśnie należały hektary ogrodów, baseny, altany, fontanny, werandy, balkony, pokoje, salony, garderoby i mnóstwo pieńędzy. Małżonek był najbogatszym z najbogatszych ludzi.

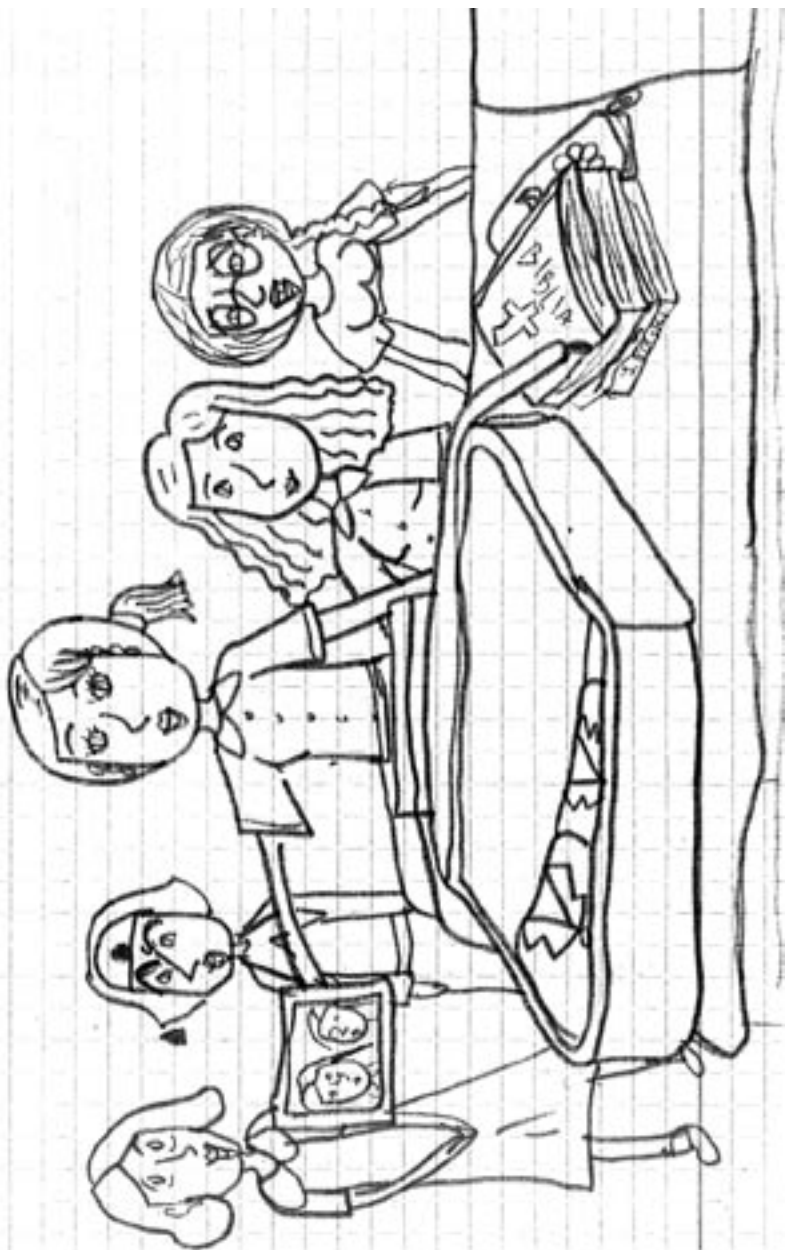
Po kilku latach życia w samotnym luksusie, urodziła im się córka. Spadkobierczyni całego majątku - Julia. Od małego wszyscy wmawiali sobie i całemu otoczeniu, że gdy dorośnie, będzie to najbardziej utalentowana kobieta na świecie. Dzięki mediom, oczy całego świata zwrócone były na Julię. Wszyscy nosili koszulki z jej zdjęciami, matki ubierały dzieci w taki sam sposób, jak Wioletta - matka Julii. Wszystkie rodzące się dziewczynki w tym czasie, miały na imię Julia, zaczęto produkować zabawki dla niemowląt firmy „Julia Baby” itp., itd...

Po niedługim czasie pani Wioletta zaszła w ciążę. Urodziła jej się druga córka, którą nazwano Joanna. Lecz popularność Joanny nie była ogromna, jak Julii. Joasia nie występowała w telewizji, nie była uznawana za najmądrzejsze dziecko, nie miała lekcji gry na pianinie i skrzypcach, nie chodziła na balet, nie nosiła ciuchów firmy z jej imieniem. To miała tylko Julia. Druga córka miliarderów nie była w centrum uwagi.

Mijały lata. Popularność Julii rosła, a Joanna odchodziła coraz bardziej w cień. Nadszedł czas edukacji. Rodzice córek musieli zdecydować, do jakiej szkoły będą chodzić ich dzieci. Ostatecznie osądzono, że Julia będzie uczyła się w domu - prywatnie, a Joanna pojedzie do szkoły z internatem pięćset kilometrów od rodzinnego miasta.

31 lipca rodzice i siostra pożegnali dziewczynkę, wpychając ją samą do pociągu jadącego prosto do „Katolickiej Szkoły z





Internatem dla Dziewcząt”. Jej wychowawczynią została siostra Mirabel. Dostała czteroosobowy pokój, który dzieliła z Balbiną, (która miała wszystkie możliwe lęki i fobie), Melanią, (która moczyła pościel i bała się ciemności), Łucją, (która strasznie sepleniała i miała cylindryczne okulary) oraz Anią - jej najlepszą koleżanką. Poza tym w jej klasie znajdowała się grupa wroga Joannie: Anastazja („szefowa gangu”), Kamila, Klara, Sandra, Ewelina. Były również inne dziewczynki, obojętne Joasi.

- Pamiętam, pani Mirabel zeszła ze schodów. Wszystkie dziewczęta były równo ustawione. Weszliśmy do klasy. Wszyscy usiedli normalnie i... - Joasia opowiadała wspomnienia Anicie w pewne upalne lato, mając już 13 lat - ... tylko ja... usiadłam na worek, który nastawiła Kamila. Wtedy Balbina powiedziała: „Pse pani Łucia place.” Pani zapytała się Łucji, co się stało, a ona powiedziała, że ma lęk przed pajakami. Grupka z Anastazją na czele, zaczęła się śmiać..., wyszłam na idiotkę...

- Miałyśmy wtedy osiem lat... - przypomniała sobie Anita.
- A w zerówce, gdy na przedstawieniu grałam motylka, to Anastazja podcięła mi sznurki, które podtrzymywały skrzydełka... Spadłam i zsiusiałam się ze strachu. Co za wstyd! Do tej pory, gdy o tym mówię, czerwienię się.

- Tak szybko zleciała mi ta szkoła... Dziś już zakończenie roku - westchnęła.

- Będziesz się dalej uczyć? - ciągnęła rozmowę jej przyjaciółka.

- Wydaje mi się, że tak. Zresztą, kto wie? Będzie tak, jak rodzice zadecydują.

- Jaśka, nigdy o tym nie rozmawiałyśmy, ale pytam: Dlaczego ty, tu trafiłaś?! Przecież twoi rodzice są tak nadziani, twoja siostra ma tak dobrze... A ty?

- No wiesz... - zaczęła.

- Jak nie chcesz, to nie mów - szybko przerwała Anita. - To w końcu nie moja sprawa.

- Nie, nie. Nie o to chodzi. Po prostu ja..., ja..., ja..., nie wiem! Rodzice nigdy mi nie mówili. Wsadzili mnie w pociąg i już. Tak to jest... Julia była planowana. Oni ją chcieli. A ja..., ja to tak niechący - pociągnęła nosem.

- Jak to niechący?! Joasiu, nie mów tak. Przecież jesteś ich dzieckiem! Oni Cię jakoś tam... kochają - dodała ciszej Anita.

Rozległ się dzwonek na śniadanie. Jak zwykle od siedmiu lat, weszły tymi samymi schodami, na ten sam hol, a później na stołówkę. Stołówka była wielka. Tu jadła cała szkoła. Przy tym samym ogromnym stole, o tym samym czasie. Dziewczynki zajęły miejsce. Do sali weszła dyrektorka.

- Witam – zaczęła. - Jak wiecie mamy przed sobą wielki dzień - zakończenie roku szkolnego. W związku z tym nie ma zajęć i macie czas na spakowanie się i załatwienie swoich spraw do piętnastej trzydziści. Wtedy to przyjadą wsi rodzice...

- Twój będą? - szepnęła ukradkiem Anita do swej przyjaciółki.

- Wątpię - odbąknęła pytana. Joanna nie pytała o rodziców Anity. Wiedziała bowiem, że umarli niedługo po tym, jak urodziła się im córka.

- O szesnastej zacznie się uroczystość - mówiła pani dyrektor. - Proszę ubrać się w kostiumy na przedstawienie. Naszykujcie sobie też galowe stroje. Kiedy zaczną się przemówienia, będziecie mogli się przebrać. A teraz smacznego dziewczęta!

Wszystkie zebrały się do konsumpcji zupy mlecznej.

Po śniadaniu Melania, Łucja, Balbina, Joanna i Anita zebrały się w pokoju nr 26, aby się spakować.

- Niedługo się rozstaniemy - zaczęła Melania pakując fartuszek. - Nie chcę się z wami rozstawać!

- Ja też nie. Bardzo się zżyłam z wami, normalnie jesteście dla mnie jak rodzina! Kocham was! - wyznała łkając Łucja.

- Dziewczyny, no... będzie mi Was bardzo brakować! - prawie wyszlochała Balbina.

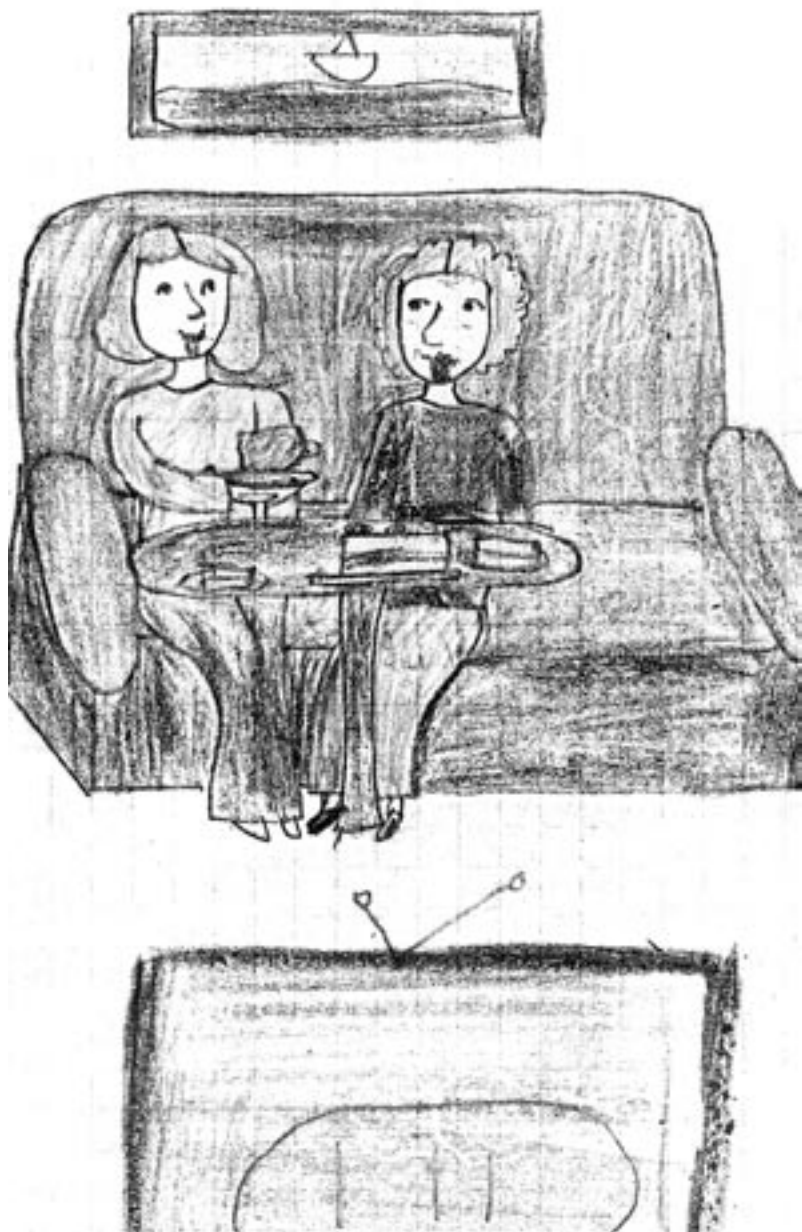
Tak wiele jest na świecie osób starszych, samotnych, pokrzywdzonych przez los. Chorych, bezdomnych, niedołączonych... Kiedy czytasz te słowa myślisz, że Ciebie to nie dotyczy. Nie znasz takich ludzi. Ale tak naprawdę oni są obok Ciebie. Codziennie przechodzisz koło nich. Mówisz im „dzień dobry”. A jednak ich nie dostrzegasz. Otwórz oczy! Rozejrzysz się wokoło. Nie bądź obojętny na ludzkie cierpienie i ból. Bądźcie dobrzy!

Do Czytelników - Autorka

HISTORIA PANI KALINY

Było ciepłe, złote popołudnie. Dzień zbliżał się ku wieczorowi, a słońce szykowało się do zachodu. Tak jak zwykle, nic się nie działo i nic nie było w tym dziwnego i zaskakującego. Pani Kalinka mieszkała w małym, białym domku na skraju wsi. Jak zwykle spędzała w ogrodzie wiele godzin, pielęgnując swoje kwiaty. Obrywała zeschnięte liście, podlewała i odpowiednio przycinała. Szczególną jej uwagę przyciągały róże. O nie dbała najbardziej, ponieważ były to jej ulubione rośliny. Kiedy zakończyła pracę, przysiadła na zielonej, drewnianej ławeczce, która znajdowała się przy rabacie z różami. Nagle coś jakby ją przydusiło na sercu i po jej twarzy popłynęła mała, srebrzysta łza. Stało się tak, ponieważ pomyślała, że oprócz tych roślin i kwiatów, nie ma nikogo na tym świecie, kto mógłby jej dać odrobinę miłości. W rzeczywistości tak nie było.

Pani Kalinka miała córkę o imieniu Róża (to oczywiste, że jej imię wzięło się z miłości matki, to znaczy pani Kalinki do tych właśnie kwiatów). Kobieta bardzo ją kochała, lecz córka nie odwzajemniała jej miłości i przy pierwszej lepszej okazji, uciekła z domu, do którego nie powróciła do tamtego dnia (w tym momencie po matczynej twarzy spłynęła kolejna łza, ponieważ przypomniała sobie o tym, jak po



ogrodzie biegała mała Różyczka i wypełniała każdą chwilę radością). Niedługo po ucieczce, jej córka poślubiła przystojnego mężczyznę (na ślub oczywiście nie została zaproszona) i urodziła córkę, której dała na imię Natalia. Po tym wydarzeniu zmarł mąż pani Kalinki, pan Kazimierz. Żona długo nie mogła pozbiierać się po tak ogromnej stracie. W końcu jednak postanowiła wziąć się w garść.

Nagle ocknęła się z tego lekkiego zamyślenia i ucięła kwiat róży. Wstała z ławeczki i poszła, jak co wieczór na cmentarz, aby zanieść panu Kazimierzowi „świeżą częśćkę siebie”, jak mawiała.

Idąc wąską drożynką wyłożoną kamieniami, spotkała panią Linkową.

- Dobry! - wykrzyczała pani Linkowa, patrząc podejrzenie na Kalinkę. - Na cmentarz idzie?

- Dzień dobry! Tak, na cmentarz.

- A wie pani, że na wsi gadają, że pani jakiegoś chłopca z miasta se sprowadziła - zaczęła rozpuszczać plotki Linkowa.

Pani Kalinka szczerze się roześmiała.

- A co pani tak wesoło? Na wsi tak gadają! No mówię pani - nie dawała za wygraną plotkara. - A że co?, że to niby nie prawda?

- Oczywiście, że nie! Pani Linkowa, w takie bzdury wierzyć? Gdzie ja i chłop?

- Ja nie wierze, tylko powtarzam. Bo byłam przed chwilą u Gąsierewskiej i ona mi mówiła, że jej staremu mówiła Czmielowska, co się dowiedziała od tej Kisielewskiej, co u Wrony mieszka, że Maciejewska widziała was w kawiarni razem, w zeszły piątek.

- Och! Bo Maciejewska nie ma co w domu robić! Szóstka

dzieci i zamiast się nimi zająć, to lata po wsi i plotkuje - dogryzła Linkowej pani Kalinka.

- Chcesz pani jabłko? - zapytała baba. - Gąsierewska mi dała. W tym roku ma swoje!

- A dziękuje, chętnie.

- Za to większa nowina! Nowi się wprowadzili. Do tej chałupy po Świerkowskich.

- To też pani Gąsierewska powiedziała?

- Nie! To ja sama widziałam. Małżeństwo i dziewczyna. Bogaci, bo fortepian taki jak ta damulka mają...

- Jaka damulka, pani Linkowa? Jaka znów damulka?

- No ta, co w szkole uczy. Podobno straszna żoźa. Tego dzieciaka, od Wronów, to ponoć tak nakrzyczała, że gorączki dostał.

- Pani Koroniewska nie jest wcale żoźą i damulką. Rozmawiałam z nią kilka razy. Bardzo kulturalna kobieta. A Zenek od Wronów, to też niezły łobuziak. Wie pani, dlaczego, go tak nakrzyczała?

- No tego właśnie nie wiem, ale...

- No właśnie! - pani Kalinka próbowała uświadomić pani Linkowej, że postępuje źle.

- Może i rzeczywiście. Skręca pani na cmentarz?

- Tak. Pani idzie na grób brata? - zapytała Kalina.

- Nie, nie mam czasu. Muszę iść do Pyzów pożyczyć torownicę, a u brata wczoraj byłam. Do widzenia!

- Do widzenia! - odpowiedziała Kalinka i skręciła na cmentarz.

„Co za plotkara z tej Linkowej” - myślała pani Kalinka, lecz kiedy przeszła przez cmentarną bramę, myśli tego typu rozwiały się na wiatr. Podeszła do grobu męża i do bukietu róż, które

były starannie ułożone w wazonie, dołożyła tę dzisiejszą. Pomodliła się i zapaliła znicz.

Wracając do domu zaszła do sklepu.

- Dzień dobry! - zagadnęła ekspedientka.

- Dobry wieczór! - odpowiedziała pani Kalinka. - Czy to prawda, że do budynku po Świerkowskich wprowadziła się nowa rodzina?

- Tak, to prawda - Kwiatkowscy! Bardzo mili ludzie. Byli u nas w sklepie.

- W takim razie poproszę tort truskawkowy.

- Proszę bardzo.

Pani Kalinka kupiła tort, ponieważ uświadomiła sobie, że jest ich sąsiadką i chciała przywitać Kwiatkowskich serdecznie.

Podeszła do drzwi i zadzwoniła. Przywitała się z sąsiadami i została zaproszona na kawę.

- Dzień dobry! Nazywam się Kalina Lawendzka. Mieszkam niedaleko, przy tej samej ulicy, więc jesteśmy sąsiadami. Przyniosłam dla państwa taki tort powitalny.

- Dzień dobry! Bardzo mi miło! Proszę wejść - odpowiedziała stojąca w drzwiach szczupła, drobna kobieta o kasztanowych oczach i blond włosach. - Nazywam się Małgorzata Kwiatkowska - podała rękę i uśmiechnęła się. - Tak mi przykro - ciągnęła dalej - że nie ma pozostałych mieszkańców. Mój mąż Janusz i córka Danusia pojechali do miasta. Myślę jednak, że to z jednej strony dobrze. Będziemy mogły sobie porozmawiać i lepiej się poznać. Niech pani tu sobie usiądzie - powiedziała wskazując dużą, zieloną kanapę znajdującą się w salonie. - A ja pokroję tort, jeśli pani pozwoli i zaparzę herbatkę. Chyba, że preferuje pani kawę? To, co zaparzyć pani Kalinko? Chyba mogę się tak do pani zwracać, prawda?

- Oczywiście! Poproszę herbatkę, jeżeli to nie kłopot?

- Ależ skąd! Proszę chwilę zaczekać.

Kiedy pani Kwiatkowska poszła do kuchni, Kalinka rozejrzała się po mieszkaniu (oczywiście nie wścibsko?!). Siedziała na kanapie i przyglądała się obrazom. Dom był dosyć mały, za to gustownie urządzone i przytulny. Szczególną uwagę przywiązała roślinom znajdującym się w salonie: paprociom, fiołkom i bratkom.

- Już jestem! Długo pani czekała? - do pokoju wpadła pani Małgosia.

- Absolutnie, nie!

- Zapewne jest pani ciekawa, jak tu trafiliśmy. Państwo Świerkowscy chcieli sprzedać mieszkanie, lecz nie wiedzieli, komu? Ponieważ to znajomi mojej mamy, zagraliśmy tu posadę i tak tu jesteśmy. Urządzaliśmy się prawie rok, no wie pani, nie spieszyło nam się, a dziś się przeprowadziliśmy. Jednak nie żałuję, że się tu przeprowadziliśmy. To piękna okolica i zresztą, mam bardzo miłych sąsiadów, sklep, kościół, szkoła jest na miejscu, więc nie ma problemu. Mąż nie musi zmieniać pracy, bo do tej pory mieszkaliśmy w najbliższym mieście. Córka nie musi się stresować, bo zna tutejsze dzieci, a ja i tak nie muszę dojeżdżać do pracy, bo miałam przejść na macierzyński.

- Naprawdę? W ogóle po pani nie widać - zachwyciła się pani Kalinka.

- Tak, bo to dopiero pierwszy miesiąc! Jeszcze trochę, a będę bardziej gruba. Tak, tak! - zaśmiała się pani Małgosia.

- Jeszcze ponad pół roku! Pani się zdąży naczekać!

- Jeśli wolno spytać - zaczęła kobieta - pani gdzie mieszka dokładnie? Ma pani rodzinę?

- No, no, właściwie nie wiem - zmieszala się pani Kalinka (wiecie, jaka zaistniała sytuacja).

- Nie chcę być wścibska!

- Absolutnie nie jest pani wścibska! Po prostu ciężko mi o tym mówić, bo mój mąż umarł, a córka uciekła z domu, wyszła

za mąż, urodziła mi wnuczkę, a ja jej nawet nie widziałam - rozpląkała się kobieta.

- Przepraszam..., nie wiedziałam. Tak mi przykro. Może mi się pani wyzalić.

- Nic się nie stało. Na pewno kiedyś o tym z panią porozmawiam, lecz pozwoli pani, że nie dziś.

- Oczywiście! Jeszcze herbatki?

- Dziękuję! Ja już pójdę, jest późno. Niech pani nie myśli, że to z pani powodu.

- Oczywiście, rozumiem!

- Do widzenia!

- Do widzenia! Dziękuję za tort. Niech pani jutro wpadnie o tej porze jak dziś, dobrze?

- Na pewno przyjdę. Żegnam, do widzenia!

W tym czasie, kiedy pani Kalinka poszła w odwiedziny do Kwiatkowskich, Linkowa poszła do Pyzów, niby pożyczyć tortownicę. Prawdziwym powodem jej wizyty, były jak zwykle oczywiście plotki. Zapukała do drzwi. Otworzyła jej Pyzowa.

- O! Linkowa, włącz, włącz. Dowiedziałas się czegoś od tej Kaliny?

- No! Mówię ci, Pyza! Jak jej powiedziałam, co na wsi mówią, to ona klepie, że Maciejewska chyba nie ma co robić i że ma dzieci zaniedbane.

- Popatrz! - podniecała się Pyzowa siadając w kuchni. - Jeszcze Maciejewską obraziła!

- No, no! Jeszcze się śmiała bezczelnie. A jak broniła tej damulki, co skrzyczała dzieciaka od Wronów.

- Linkowa! Czmielska się dowiedziała od Kisielewskiej, co podsłuchiwała u Wronów, że ona go pobiła!



- Tak? To gorzej niż żoźła!
- Ano gorzej! - potwierdziła gospocha.
- Tylko, czemu ona bronila tak tę damulkę?
- Bo w spółce są razem! Pomyśl Linkowa.
- No ta... Idę do Gąsierewskiej.
- To idź! Ja się tak wystroiłam, to idę do tej damulki.

Pyzowa szła przez wieś. Zapaliły się latarnie. Było już dobrze po dziewiątej. Idąc specjalnie stawiała duże kroki, by falowała się jej nowo zakupiona spódnica i odświętny sweter.

Przechodnie oglądali się za nią i zastanawiali się: „Do kogoż to ona idzie?” Zadzierając nosa, kobieta mijała, nie przywiązując do nich uwagi, piękne krajobrazy. Parujące łąki, szeszczące liście w koronach drzew i lasy. Maszerując dumnie zauważyła, że na niebie pojawił się srebrzysty, jasny, półokrągły księżyc.

Kiedy doszła do celu, zapukała rytmicznie do drzwi.

- Och! Kim pani jest? W czym mogę pomóc? - usłyszała głos „damulki”.

- Witam. Nazywam się Halina Pyza. Jestem w Radzie Parafialnej. Chciałabym z panią porozmawiać na ten temat.

- W takim razie słucham?

- Hymmm! - odrzyknęła Pyzowa, próbując dać do zrozumienia pani Koroniewskiej, że chce usiąść. Nie przyniosło to jednak skutku. Po chwili ciszy zapytała: - Gdzie usiądziemy?

- Och, no tak..., zapraszam na ławkę przed dom. Tylko proszę się streszczać, ponieważ przeszkodziła mi pani w komponowaniu nowej muzyki. Chciałabym ją dzisiaj skończyć.

- Oczywiście - zawahała się „członkini Rady Parafialnej”, co za bzdurę wymyślić i pójść. Nagle powiedziała: - Niedługo

przyjedzie Biskup. Czy skomponuje pani jakiś specjalny utwór z tej okazji?

- Ależ ja już go napisałam i oddałam proboszczowi!

- Ach - zmieszała się Halina. - Coś mi się musiało pomylić.

Do widzenia.

- Do widzenia - odpowiedziała pani Koroniewska. Dziwiła się, co ta kobieta od niej chciała? Po krótkiej chwili poszła do domu i kończyła pracę.

Wstał nowy, słoneczny, piękny dzień. Na błękitnym niebie malowały się śnieżnobiałe baranki. Maciejewska właśnie wyszła na podwórze po wodę ze studni.

- Karolka! Obudź Miśkę i Julka! Maniek, Franek, Władziu, Wacek!!! Chodźcie tu! - wołała na dzieci. - Pójdziecie do babki po mleko. Władziu, jesteś najstarszy, to pilnuj ich. Maryśka! Po zakupy. Kup dwanaście chlebów i weź kasze, aha! Jabłek kup z dwa kilo i kurczaka. Możesz wziąć wody sodowej i papierosy dla ojca.

- Kiedy ja sobie matuś sama nie poradzę - zwróciła uwagę śliczna, jasnowłosa, rumiana Marysia.

- To niech ci Andrzej pomoże. Bronka. Gdzie Antoś i Oleńka?

- Skaczą po łóżku. Umyć ich?

- No tak! Jasiek drzewa narąbie, a Hanka pranie pozbiera i wywiesi.

- Ona jeszcze śpi - odezwał się Jasiek.

- Jak śpi? Obudzić ją! No, nie ma czasu! Jeszcze muszę dać świniom. Kasiu, pozbieraj jaja od kurek, dobrze?

- Dobrze!

Na podwórko weszła Bronka, prowadząc najmłodszych: Antosia i Oleńkę.

Rodzina Maciejewskich była uboga, lecz niegdyś było inaczej. Na początku, jak to jest zazwyczaj, pani Bogumiła i pan Tadeusz wzięli ślub. Oboje pracowali i byli bogaci. Kochali dzieci. Najpierw urodził im się Władysław, później rok po roku: Maniek, Waclaw, Franciszek, Hania, Bronia, Andrzej, Karolina i dwa lata później - Kasia. Niedługo później, stało się nieszczęście. Siostra pani Maciejewskiej i jej mąż zginęli w wypadku. Osierocili szóstkę dzieci. Rodzina Maciejewskich przygarnęła pozostałe dzieci: Jasia, który miał wtedy pięć lat, czteroletnią Marysię, trzyletnią Misię, dwuletnią Julką oraz bliźniaków: Antosia i Oleńkę - zaledwie jednorocznych. Tym sposobem państwo Maciejewscy mieli piętnaścioro dzieci. Z taką ilością potomstwa, automatycznie zubożeli, a później pan Tadek dostał mniej płatną pracę. Od tej pory żyli bardzo, bardzo ubogo.

Na podwórko weszła rozczochrana Hanka, która umiała wejść na każde drzewo. Ziewnęła i przeciągnęła się.

- Mamo, przecież wczoraj zbierałaś pranie. Jutro niedziela, to odzienie naszykuję. Chłopakom trzeba koszule poprasować, aha! Miśkę jeszcze uczeszę.

Zachód słońca sprawił dzień ciepłym i błogim. Dzień kłonił się ku końcowi, aby ustąpić Królowej Nocy. Mały, biały staroświecki domek przy końcu wsi był tego całkowicie świadom. Mieszkancka tego domu kończyła codzienną pracę w ogrodzie. Właśnie wybierała się na spacer, kiedy przy furtce spotkała Linkową - starą, wsiową plotkarę. Nie było rzeczy, która na wsi by się przed nią ukryła. Kto? Gdzie? Kiedy? - to wie Linkowa.

- Dzień dobry pani Kalinko! - zagadnęła.

- Och, witam. Co dziś mi pani powie?

- Nic - starała się ukryć podniecenie stara, lecz nagle nie

wytrzymała - Tylko...

- Tylko? - śmiała się pani Kalina.

- Bo wie, że na wieś się nowi wprowadzili?

- Już wiem...

- Właśnie! Bo do tej chaty po Świerkowskich i najważniejsze: mieli telewizor!!!

- Tak?

- No!!! Prawdziwy i „łamerikański”...

- Amerykański, pani Linkowa.

- Przecie mówie... Nie jak lekarz, co ma ruski, tylko „łame-rikański”!

- Amerykański! - poprawiała bez przerwy Kalina.

- No przecie. Stary, baba i bąk.

- Bądźmy cywilizowani Linkowa: mężczyzna, kobieta i dziecko.

- A co za różnica?

- Ach - machnęła rękoma Kalina. - Jak tam Babuszka?

- Ano nie wiem. Ino się wybieram. Ponoć robi powidła. Ide, ide. Z Bogiem.

- Tak. Z Bogiem - śmiała się kobieta, nie brała na serio Linkowej.

Szła patrząc, jak Linkowa się oddala idąc wąską ścieżyną do chaty Babuszki. Babuszka - była to stara kobieta. Miała dziewięćdziesiąt dwa lata i była pełna wigoru. Wszyscy ja kochali i traktowali, jak babcię. Kiedy mieli kłopoty, szli po radę do Babuszki, choć większość nawet nie znała jej imienia. Babuszka miała dziesięcioro dzieci, czternaścioro wnuków, siedmiu prawnuków i jednego praprawnuczka. Pani Waleria, bo tak miała na imię Babuszka, była ponadto sołtysową. Nie chorowała, chodziła o własnych siłach i miała gospodarstwo, które prowadziła sama.

Wracając do pani Kaliny pomyślała, że pójdzie do kościoła się pomodlić. Kiedy wracała, było już ciemno, jednak wstąpiła do Babuszki. Zapukała do drzwi starej chaty i otworzyła je ze skrzypem.

- Pochwalony, Babuszko!

- Na wieki wieków, Kalina! Właśnie skończyłam powidła. Zjesz, prawda wnusiu? Wejdz na izby. Jesteś w domu! Zdejmij kurtkę. Przed chwilą była Lidka, się znaczy Linkowa. Zdejmuj kurtkę. Siadaj i mów: - Kiedy jedziesz do Marty? Śliwkowe powidła, czy z truskawek? Z truskawek. Ty lubisz z truskawki! No siadaj!!! To, co z tą Martą?

- W sobotę. Właśnie w sobotę ma urodziny.

- Ach, no tak. Kalu, bo chyba mogę tak do ciebie mówić?...

- Ależ oczywiście, Babuszko.

- Więc Kalu mam do ciebie sprawę. Chodzi o to, czy ja bym mogła odwiedzić Martę, wiesz, bardzo dobrze ją znam, chodziła z Krysią do jednej klasy. Pamiętam, że gdy dziewczynki były małe, Krysia zawsze zapraszała Martynkę na urodziny. Nigdy tego nie zapomnę, jak w Noc Świętojańską poszły spać same do stodoły. Miały wtedy..., tak! Miały osiem lat. Jak ten czas leci? Teraz mają sześćdziesiąt dwa, Jezusie! Bo i Tadzik ma siedemdziesiąt lat - syn, Zosia sześćdziesiąt osiem - córka - wyliczała z dumą Babuszka. - Renia - sześćdziesiąt dwa - córca, Marysia sześćdziesiąt trzy - też córka, Józio siedemdziesiąt jeden - syn, Hania i Jan siedemdziesiąt dwa - bliźniaki moje, Konstancja i Julka siedemdziesiąt trzy, a Wiesia trzy lata nie żyje i mąż dwadzieścia trzy lata temu odszedł. Teraz moje wnuki: Krysia oczywiście, Adam, Piotr, Ewa, Ania, Rysio, Kasia, Karolina, Irene, Michał, Bartek, Władzio, Marcin, Lidka. Prawnuk: Krzyś. To jak z tym wyjazdem złotko?

- Babuszko! Marta na pewno się ucieszy. Pyszne te powidła. Dużo cukru...

- Tak, jak lubisz. A... Kalu? - podpytywała babuszka.

- Tak?

- Jak tam Róża? Odzywa się? Widziałaś Natalkę?

- Nie. Nie odzywa się, nie widziałam Natalii. Ona chyba



zapomniała, że ma matkę. Zadufana sama w sobie.

- Jeśli nie chce cię widzieć, to robi krzywdę dziecku. Jeszcze jej mała wypomni: „Mamo ja mam babcię?!” Tak! Takie są dzieci. Bez ogródek, prosto w oczy. Dobrze. Nie mówmy o tym.

- Jak już późno! Idę do domu.

- Ależ skąd? Przenocujesz u mnie. Ciemno, sama nie pójdziesz! Nie ma mowy! Przyniosę ci koszulę. Nosiła ją kiedyś Kostka, ale powinna być dobra.

Wieczór minął na rozmowach. Jedną z nich była rozmowa o owej nowinie, o której powiedziała Kalinie Linkowa. Babuszka poradziła Kali, aby ona poszła do nowych państwa z ciastem (najlepiej z bitą śmietaną i truskawkami, jak powiedziała) i ładnie się przywitała. Po tej konwersacji poszły spać.

Wstał nowy dzień. Dzień niecodzienny - ostatni dzień lata. Był słoneczny i ciepły, choć wszyscy mieli w sobie nutę smutku i żalu, że jutro już będzie jesień, a lato dopiero za rok. Lecz nie z tego powodu dzień był niezwykły. Była to, bowiem sobota, więc urodziny Marty - siostry pani Kalinki.

Ranek minął normalnie: pani Kalina zjadła śniadanie u Babuszki. Później, umówiły się, że koło południa, Kalina pojedzie z Babuszką swoim drewnianym wozem zaprzężonym w siwą klacz o imieniu „Fianka” w odwiedzinach do Marty. Następnie pani Kalina poszła zadbać o dom: posprzątać, zadbać o kwiaty, nakarmić kozy, kurki i konia, i oczywiście upiec ciasto. Następnie zjadła ciepły posiłek i pomyślała o stosownym ubraniu. Ostatecznie ubrała granatową suknię, a na to wyjściowy fioletowy sweter. Do całości dopięła małą broszkę w kształcie elipsy z małych perełek, a w środku z dorodnym ametystem, którą odziedziczyła po swojej prababce. Później zaprzęła do wozu

„Fiankę” i ruszyła po Babuszkę. Ona też ubrała się odświętnie: włożyła białą koszulę z wielkim kołnierzem i ciemnozieloną spódnicę w czerwone kwiaty. W końcu wyruszyły.

Droga minęła im na rozmowach. Kiedy dojechały na miejsce zostały ugoszczone, a Martę obdarowano podarkami. Babuszka zrobiła jej na drutach sweter i dołożyła swoje najlepsze konfitury, a Kalina dała jej oczywiście kwiaty i kupiła komplet biżuterii z bursztynów i butelkę rumu z dzikiej róży.

Kiedy przyjechały, byli już wszyscy zaproszeni goście: koleżanka Marty - Krysia - córka Babuszki, córka Justyna wraz z dziećmi: Dorotką i Michałem, syn Szymon, synowa Kasia, ksiądz Bogdan i mąż Ryszard. Było bardzo miło i przyjemnie. Najpierw Marta zdmuchnęła świece z tortu, później zaczęły się tańce. Jako pierwsza para poszła Marta i Ryszard, później Szymon i Kasia, Dorota z Michałem, Kalina i ksiądz Bogdan, i (dlatego, że nie było do pary) Justyna z Krystyną. Tańczyli polkę, a na samym końcu, Szymon i Kasia zaprezentowali walc wiedeńskiego. Przyszedł czas na ucztę. Poczęstunek składał się z rosółu, pieczonego kurczaka i sałatki z kapusty. Wkrótce zaczęto wznosić toasty. Rozpoczął ksiądz:

- Drodzy bracia i siostry! Dziś pani Marta kończy sześćdziesiąt dwa lata, z czego się radujemy. Oby tej radości nigdy nie zabrakło!

Po tym przemówieniu, toasty same się sypały. Przemówienie wygłosił Szymon, Ryszard, a nawet Babuszka. Następnie zaczęły się pogawędki. Jak to zazwyczaj bywa na przyjęciach - kobiety rozmawiały osobno i mężczyźni także osobno. Po godzinie szóstej, goście zaczęli się rozchodzić. Marta próbowała ich zatrzymać, ale...

- Niestety mamó - tłumaczył się Szymon. - Kasia i ja musimy już iść do domu. Wybacz, ale wypilem już wina, a poza tym, Katarzyna narzeka na bóle brzucha.

- Doprawdy, Kasieńko? Musisz iść do lekarza - troszczyła się teściowa.

- Nic mi nie będzie. Ostatnio często zdarzają mi się takie skurcze...

- To tym bardziej musisz zagościć u doktora! Ale cóż, nie będę was zatrzymywać.

- Do widzenia - żegnali się Szymek i Kaśka.

- Och, ja też już pójdę.

- Proszę księdza, to niech ksiądz jeszcze zostanie.

- Niestety, obowiązki - tłumaczył się tym razem ksiądz Bogdan. - Z Bogiem!

- Z Panem Bogiem.

- I na nas czas i już pora - rzekła Babuszka.

- Wy też? - dziwiła się solenizantka. - Myślałam, że zostanieie na noc...

- Przykro mi siostrzyczko, ale bydło zostało bez opieki.

- Trudno.

- Do widzenia!!!

- Pa, pa! - smuciła się Marta. - Ty też już idziesz? - dziwiła się zwracając do Krysi.

- Uhm. Cześć!

- Uhm.. Żegnaj!

Pani Kalina i pani Waleria w tym czasie, wsiadły do wozu i ruszyły. Wóz jechał powoli kamienistą drogą, a Kalina nie gnała konia, bo chciała się nacieszyć zachodem słońca. Kiedy słońce zaszło, nadszedł zmierzch. Granatowy, cichy zmierzch. Na niebie ukazały się gwiazdy, a zza chmur wyszedł księżyc. Jego srebrna poświata oświetlała drogę „Fiance” zaprzężonej do drewnianego wozu. Panowała błoga cisza, cisza, którą Babuszka próbowała przewyciężyć pochrząkiwaniem, lecz po czasie poddała się. Jechały w tej błogiej ciszy do domu, w wicherze własnych myśli, które sięgały niczego. Było im dobrze.

Jednak, co dobre szybko się kończy. Nagle błogą ciszę przerwał męski krzyk i głośny odgłos końskich kopyt. Było prawie zupełnie ciemno. Kobiety przestraszyły się: „Kto to jest?” „Może bandyta?” „Może złodziej?” Kalina pognąła konia. Szybciej, szybciej, szybciej, aż w końcu jechały z zawrotną szybkością. Nic to nie dało. Tajemnicza osoba była wciąż w tej samej odległości, czyli - blisko, bliżej, jeszcze bliżej, w końcu Babuszka zaczęła piszczeć:

- Aaaa! Aaaa! Bandyta! Złodziej! Aaaa! Ratunku! Aaaa! Pomocy! Na pomoc! Ludzie! Bandyta! Aaaa! Ratunku!

Pani Kalinie zimny dreszcz przeszedł po plecach. Odwróciła się. Bandyta nie przestawał je gonić pomimo wrzasków Babuszki. Raptem:

- Ciii... - rzekła osoba za Kaliną. Babuszka przestała krzyczeć. Znowu zapanowała cisza, ale nie ta błoga, nie ta przyjemna, ale straszna i przerażająca. Kalina zaczęła płytko oddychać, zakręciło jej się w głowie i już miała zemdleć, gdy...

- Ciociu Kalino! - jakiś znajomy głos zaczął wołać - Ciociu Kalu! Babuszko! - Kobieta odwróciła się i ujrzała długą twarz z małymi oczyma, orlim nosem i łysą głową.

- Szymon! Ty wariacie, ale nas nastraszyłeś!!!

- No właśnie - trzymała się za serce Babuszka.

- Myślałam, że zemdleję! Co się stało? Czemu nas tak gonisz?

- Nieszczęście! - Szymek wyglądał na bardziej wystraszonego niż one. - Katastrofa! Pa... Ppp!

- No wyduś to z siebie! - krzyknęła babka.

- Pali się!!!

- Gdzie?

- U mamy! Benzyna od ciągnika... Mama zapalkę wrzuciła... Dym, dym, dym... Ogień... ni... nic... nie... nie ma!

- Jezu Chryste! Święci pańscy!!! - zawrzeszczała Kalina. - Jedziemy! Cofnij konia! - zawróciła i pędziła do siostry.

- Kalu! Kalina, nie tak szybko, to nic nie da! - krzyczała Babuszka, trzymając się ledwo poręczy, a Kalina pędziła, pędziła co tchu! Jeszcze szybciej niż przed rzekomym „bandytą”. W takim tempie szybko dotarli na miejsce. Zastali zanoszącą się płaczem Martę, ryczące dzieci i ledwie przytomną Justynę, bladą jak ściana. Ryszard i Szymon dogaszali dymiący szkielet, niestety już domu! Marta wpadła w ramiona Kaliny gorzko łkając.

- Ni... ni... nic nie zostało!!! Co z... na... mi bę... będzie? Aaaa!

- Nie martw się! Marta! Nie martw się, zamieszkacie u mnie!

- Ale... ja... nie... mo...geeę!

- Wiem, że nie możesz! - wtrąciła się Babuszka - bo musisz, nie gadaj! Tylko tyle ocalało? - spytała wskazując na walizkę.

- Niestety tak, proszę pani. O Boże... Taka katastrofa i to jeszcze w urodziny mamy - oświadczyła Justyna.

- Co ocalało?

- Ubrania, ale tylko mała część, kilka książek, obraz ślubny, portfel, to wszystko.

- Ocalał jeszcze kredens, ten malutki ze stryszku - powiedział Ryszard przychodząc do gości i taszcząc kredensik.

- Dobrze, więc - pakujcie się - przeszła do rzeczy pani Kalina.

- Kalinko, wydaje mi się, że... nie, nie możemy być dla ciebie ciężarem. Sama żyjesz ubogo. My, jak my. Ale Justyna i dzieci? Gdzie się pomieścimy? - wyznał Rysiek.

- Dobrze, ale gdzie wy zamierzacie pójść? Do Szymona? Przecież oni sami mieszkają z rodzicami Kasi. Nawet tę noc przykładowo, gdzie spędzicie? Pod gołym niebem? Nie ma mowy. Przenocujecie u mnie, a później zastanowimy się, co będzie dalej. Może znajdziecie jakieś mieszkanie, ale póki, co drzwi domu mojego są dla was szeroko otwarte.

W tym momencie Kalina popatrzyła na zmarznięte buźki dzieci.

- Nie odmawiajcie, więc bo nie macie wyjścia. Ładujcie się na wóz.

Rzeczywiście. Tak jak mówiła Kalina, rodzina jej siostry nie miała wyjścia. Cicho westchnęły i zaczęły pakować rzeczy na wóz. A że było ich niewiele, szybko ruszyli.

Kiedy dotarli na miejsce, Babuszka poszła do chaty, bo musiała wziąć leki. W domu Kaliny zrobiono szybko krótkie przemeblowanie i położono się spać, nawet bez kolacji.

Ranek, który nadszedł, nie był tak słoneczny i ciepły jak ostatnio. Pierwszy dzień jesieni. Wzmagał się wiatr i zbierało się na deszcz. Kalina wstała dość późno. Kiedy po cichu weszła do kuchni, zastała tam łkającą Martę. Za domem Ryszard rąbał drewno, by wyładować złość. Justyna smętnie snuła się po domu, a dzieci spały jeszcze. Wszystko na jej głowie. Musiała ich pocieszyć. Przecież sama nie miała lekkiego życia. Choć mieszkała sama, była biedna. Musiała utrzymać się z hodowli sześciu kóz, dwudziestu kur i konia. Zarabiała sprzedając mleko i jajka, a czasem i kurze mięso. Kiedy z pieniędzmi było krucho, wypożyczała konia i sprzątała przed kościołem (za co oczywiście nie chciała pieniędzy, ale zawsze dostała kilka złotych z tacy). Czasem zamiatała ulicę. Z tego wszystkiego musiała utrzymać siebie, gospodarkę, duży ogród i zapłacić podatek za wynajem działki. Lecz to była kropla w morzu potrzeb. Kalina nie cierpiała bardzo z tego powodu. Najgorzej doskwierała jej samotność. Tęsknota za mężem (świętej pamięci) i córką, która niegdyś uciekła z domu i urodziła jej wnuczkę. Mieszkała daleko i nie dawała znaku życia. Do tego jeszcze te problemy z siostrą i ta okropna atmosfera... Uroniła gorzką, wielką łzę. Ubrała się ciepło ze względu na wiatr i poszła nakarmić zwierzęta. Przy okazji pobierała jajka. Przyszła do domu, stanęła w



progu i starała się unieść wargi, aby wyglądało, że się uśmiecha. Choć i tak, nie miała na to ochoty, odchrząknęła i rzekła:

- Na śniadanie robię jajecznicę! Ile jajek chcecie na waszą porcję? Hm? Nie krępujcie się. Czujcie się jak u siebie w domu...

- Nie mamy domu - przerwała Marta patrząc w podłogę.

- Nie – ma - my! Rozumiesz?

- Marta nie załamuj się! Poszukamy w ogłoszeniach, popytam się ludzi...

- Po co? Pewnie i tak nic nie znajdziemy.

- Marta! - upomniał ją mąż. - Całe życie chcesz siedzieć jej na karku?

- Rzeczywiście. Co ja gadam? Czy ktoś tu mówił coś o jajkach?

- „Dzięki Ci Panie. Udało się ją jakoś uspokoić” - pomyślała Kalina w duchu.

Od tej pory nikt się nad sobą nie rozczulał. Podzielono pracę: Marta szukała ogłoszeń w gazecie i pisała listy (bo skąd wziąć telefon, na wsi jest tylko w kancelarii księdza i u lekarza, pomijając sołtysa). Rysiek pojechał do miasta rozwieszać ogłoszenia. Kalina pytała się ludzi ze wsi, czy o czymś nie słyszeli, a Justyna została z dziećmi w domu i robiła obiad.

Kiedy wrócili po ciężkiej pracy do domu, byli zziębnięci i głodni. Zziębnięci, dlatego, ponieważ wiał wiatr i padał deszcz. Z kolei głodni, bo rano nie jedli śniadania. Zasiadli do stołu. Justyna podała obiad - kaszę z mięsem drobiowym i tartą marchewką. Zmówiono modlitwę, a później zabrano się do konsumpcji. Wszyscy zaczęli chwalić wyrób Justyny, kiedy przebrnęło im pukanie do drzwi.

- Otworzę! - zaproponowała Kalina.

Więc to uczyniła. W drzwiach stał listonosz Władek - zawsze miły, obdarzający swym uśmiechem z niekompletnych zębów na przedzie, wszystkich dookoła.

- Uszanowanie pani Kalinko, całuję rączki! - wypowiedział jednym tchem. - Telegram do pani.

- A któż to? O! Od Szymona! Do mojej siostry. Może pan wejdzcie? Właśnie jemy obiad.

- Nie będę przeszkadzał.

- Ależ...

- Muszę jeszcze trochę poroznosić listów, paczek, telegramów – przerwał. - Do widzenia, wejdę kiedy indziej. Proszę pozdrowić rodzinę.

- Dziękuję, do widzenia!

Kalina przekazała list siostrze. Ona, więc wstała i przeczytała: „22 września, Słowików. Kochani! Na wstępie mego listu serdecznie Was pozdrawiam. Piszę, bo mamy wiadomość do przekazania. Nie wiemy, czy dobra jest czy zła. Sami oceńcie. Mamo na Twoich urodzinach mówiłem Ci o bólach brzucha i skurczach Kasi. Zrobiliśmy, jak radziłaś. Wybrałem się z Kasią do lekarza. Okazało się, że... (Wiem, że to nie jest wiadomość na list, ale nie mamy innego kontaktu) Katarzyna jest w ciąży. Trzeci miesiąc. Byliśmy u lekarza w mieście, więc nam powiedział. To nie było planowane. Muszę kończyć. Odpiszcie i wyślijcie „Priorytetem”, jak ja. Napiszcie jak Wam się żyje. Szymon, Kasia i mały dzidziuś. Ps. CMOK dla dzieciaków!”

Zaskoczenie było ogromne. Marta usiadła.

- W końcu są dorośli. Robią, co chcą - zaczął Ryszard. - Choć, jeśli rodzina się powiększy, będzie im tam ciasno w piątkę.

- Tato! - zaprotestowała Justyna.

- Ależ Ryszard! Na wychowanie dziecka potrzebne są pieniądze. Trzeba kupić wózek, meble, ciuszki, pieluchy... To nie takie proste! A że będzie im ciasno, to swoją drogą - wtrąciła Marta.

- Wiecie, co? - spróbowała jeszcze raz ich córka. - Wy zamiast się cieszyć, że rodzina się powiększy i znów zostanieie

dziadkami, martwicie się na zapas. Meble, ciuszki, wózek dostaną ode mnie po maluchach. Zresztą mają zawsze coś odłożone na czarną godzinę.

- Jesteś strasznie nierozsądna - kłóciła się matka. - Teraz już widzę twój tok myślenia, kiedy zaszłaś w ciążę z Dorotką i Michasiem?!

- Co?!?! - wstała Justyna. - Jak możesz tak mówić przy dzieciach?

- Co? Co mówić przy dzieciach? Prawdę!

- Jaką prawdę? - spytała Dorotka.

- Oj, nie ważne kochanie - wtrąciła Kalina. - Chodźcie do pokoju. Pobawimy się!

- Mamo, nie sądziłam, że..., że ty..., że mnie będziesz poniżać przy moich własnych dzieciach. - Justyna rozpląkała się i wybiegła na dwór w deszcz i wiatr.

- I co narobiłaś! - pouczał Martę, Ryszard. - Wybaczyłaś jej. Wiesz, jak to może zaboлеć?!

- Ty zawsze jej bronisz! Twoja córca! Nigdy nie martwisz się o Szymona!

- To nieprawda! Jak możesz tak mówić? Zachowujesz się jak...

- No jak? Dokończ! Dokończ, śmiało!

- Jak DZIECIAK! Jak rozkapryszony dzieciak!

- Tego już za wiele!!!

- No właśnie! - wrzeszczał cały czerwony Rysiek.

- Słyszałaś, Kalina, co on mówi?

- Ja się do rodzinnych spraw waszych nie mieszam - odpowiedziała ze spokojem siostra. - Jednak sądzę - dodała - że mogłaś odpuścić.

- Słucham? I ty ich bronisz?

- Nie bronię...

- Nie spodziewałam się tego po tobie!!!

- Marta, daj spokój, nie mamy się o co kłócić.

Odpowiedzi nie było. Trzaśnięcie drzwiami miało znaczyć: „nie odzywam się”.

- Och! - westchnęła Kalina. - Boże, Boże.

Poszła szukać Justyny. W końcu ją znalazła - siedziała skulona pod ścianą chlewika.

- Och, jesteś tu dziecko? - zagadnęła ją ciocia.

- Jak ona mogła?

- Wiesz, na pewno tego nie chciała, musiała wybuchnąć. Ta afera z domem i przeprowadzka, a do tego ten list... To byłby pierwszy lepszy powód i padło akurat na ten.

- Nie musiała mnie od razu poniżyć!

- Tak oczywiście i wcale jej nie bronię. Próbuję ją tylko jakoś zrozumieć. Wiesz, twoja mama w młodości była taka jak ty. Delikatna, wrażliwa, lecz musiała wyjechać z domu rodzinnego za chlebem i życie nauczyło ją żyć. Stała się uporczywa, zawsze szła do celu. Nawet po trupach. Jednak tak naprawdę, w sercu jest jeszcze w niej delikatna i wrażliwa kobieta. Może nie wytrzymała. Ten natłok spraw...

- Ale nie tylko na nią to spadło. Ja, tata, dzieci, ciocia, wszyscy się tym denerwują!

- Może jej psychika jest słabsza? Mimo wszystko jej nie usprawiedliwiam. Postąpiła źle. Chodź do domu. Zrobię ci herbatę, co?

- Chodź, bo się przeziębisz.

Weszły do domu. Justyna zaczęła się trząść i kichać.

- Z cytryną?

- Tak proszę - odpowiedziała.

- Chyba się jednak przeziębiałaś. Tak kichasz...

- Nie, to chwilowe...

- No, nie powiedziałałabym - rzekła Kalinka.

Do kuchni weszła Marta i podeszła do córki.

- Prze... Pppp... przepraszam - powiedziała i wzięła ją w ramiona.

NOWY DOM

Było już koło południa, gdy tata Julii wyjął ostatnią walizkę z bagażnika samochodu. Ona sama stała zamyślona przed starym obiektem z bielonymi ścianami i brązowym, omszałym dachem. Całość porastał bluszcz, który nadawał wszystkiemu uroku. Wokół rósł podwójny fioletowy bez. Za domem stały dwie drewniane ławki i stolik. Niedaleko rozciągał się zarośnięty plac ziemi, więc można było domyślić się, że to ogródek. A to wszystko na tle bukowego lasu, który o tej porze mienił się złotem - czerwonymi barwami.

- To mój nowy dom - pomyślała z niedowierzaniem.

To było naprawdę piękne miejsce. Dom stał w towarzystwie drugiego, bardziej siwego domku stojącego bardziej przy lesie.

- Czy to nie jest sen? To się dzieje naprawdę? - niedowierzająco zapytała dwunastoletnia dziewczyna.

Nagle z transu rozmyślań zbudziła ją mama, która poprosiła, aby jako najmłodsza członkini rodziny, przekreśliła klucz w drzwiach. Kiedy Julia pchnęła drzwi, zobaczyła staroświecką, zakurzoną izbę, do której wpadały promienie słońca, iskrząc się bez ustanku.

- Wejdźmy dalej - zaproponował tata.

Tak też zrobili. Weszli do dość dużego saloniku z drewnianą podłogą, którego główną ozdobą był stary kominek. Na prawo od kominka znajdowały się witrażowe drzwi. Po ich otwarciu okazało się, że jest to bardzo ładna łazienka wykładana białymi kafelkami. Na lewo od kominka widać się kręte schody prowadzące na górę.

- Więc może wejdziemy na górną część domu? - zaproponował tata i nie czekając na odpowiedź, zaprosił ręką mamę i Julkę.

Po przejściu kilkunastu schodków, ujrzeni przed sobą wąski korytarzyk z trzema drzwiami: na prawo, na lewo i naprzeciw-

ko. Najpierw otworzyli prawe drzwi. Za drzwiami znajdowała się czarująca facjatka, w której rześko grasowały promyki słońca.

- Julio, postanowiliśmy z tatą, że będzie to twój pokój. Podobna ci się?

- Cudowny, mamó. Dziękuję!

- Cieszymy się, że ci się podoba - ciągnął tata. - Ja sam bałem się, że będziesz wybrzydzać. Tak szczerze, to przecież nie jest nowoczesny pokój, o którym marzy każda nastolatka...?

- Tato, ja o takim marzę! Marzę o tej facjatce! - wykrzyczała uradowana córka.

- To całe szczęście...

- Mama nie marnowała czasu na rozmowy. Zdążyła już obejrzeć dwa pozostałe pokoje.

- Jerzy, tak sobie pomyślałam, że ten na lewo może być twoim biurem, a ten naprzeciwko, naszą sypialnię.

- Dobrze Dorotko. Będzie jak chcesz. Tylko zejdźmy już na dół, bo ciężarówka przywiozła meble.

Zeszli na dół. Rzeczywiście ciężarówka przywiozła meble.

- Dzień dobry! - zaczęła mama.

- Dzień dobry pani - odrzekła załoga przewozowa.

- Czy byłaby taka możliwość przenieść te meble do tego pomieszczenia? - mama wskazała na izdebkę, do której się wchodzi. Tak naprawdę, to już zdecydowała, że będzie to kuchnia.

- Oczywiście - usłyszała odpowiedź.

- W takim razie, bardzo bym prosiła... - mama zawsze twardo stąpała po ziemi. Nie chodziła z głową w chmurach. - Mąż sam sobie nie poradzi!

Do wieczora ekipa przenosiła wszystkie meble taty, a mama i Julia uszykowały spanie oraz kolację.

- Do widzenia! - żegnali się domownicy.

- Dobranoc! - odpowiedziała ekipa.

Po paru minutach załoga odjechała. Rodzinka zjadła kolację i położyła się spać.

Na drugi dzień wszyscy wstali dość wcześnie i rozpoczęli porządki. Tymczasem słońce obudzone ze słodkiej drzemki rozpieszczało buki ciepłem swoich promyków.

- Julka, zamiecesz podłogę i pościągasz pajęczyny!

- Tak mamo.

-Jurek, poustawiamy meble w salonie... - rozporządzała mama Dorota.

Po kilku godzinach była urządzona kuchnia i salon, a tata i Julia zamiatali łazienkę.

- Śniadanie gotowe! - zawołała rozradowana gospodyni.

Ojciec z córką pozostawili zmiotki i mopy, rzucając się na przygotowany stos kanapek.

- Ale pycha!

- Cieszę się, że ci smakuje Julio. Nieźle się napracowałaś!

- Mamo, gdzie są meble do mojego pokoju? - zapytała zaniepokojona.

- Postanowiliśmy z mamą kupić ci nowe - odrzekł tata. - Tamte były już zniszczone.

- To cudownie! Mamo, tato - jesteście kochani!

Po śniadaniu, narzucili szybsze tempo pracy.

- Mamo, gdzie są chodniki?

- W tej niebieskiej torbie.

- Nie ma! - krzyknęła zdenerwowana Julka.

- Ja już rozłożyłem! - śmiał się tata z żony i córki. Zamieszanie, które stworzyły, było niepotrzebne.

Nagle wszyscy usłyszeli, że na podwórko wjeżdża jakiś samochód.

- Ktoś przyjechał... To ciocia Renata i wujek Heniek! - wykrzyknęła radośnie Julia. W tej samej chwili ktoś krótko zapukał, a drzwi zaskrzypiały. Do domu weszła szczupła brunetka z

okrągłymi okularami w złotej oprawce. Włosy miała upięte w roztrzepany kok. Na szyi kobiety wisiały setki drewnianych koralików zwisających na czarną obcisłą bluzkę. Krótka, zwiewna, zgrabnie wyglądała na czarnych od rajstop nogach. Kobieta wydawała się być zdziwiona, uśmiechała się z podziwem wolno rozglądając się po domu.

- No, niezłą sobie chałupkę odwaliliście - powiedziała żując wolno gumę. Renata była siostrą taty Julki - Jurka. Była nowoczesną młodą kobietą - miała dwadzieścia pięć lat. Bardzo lubiła całą rodzinę swojego brata, ale najbardziej lubiła Julkę.

- Renata? Cześć! - rozradowana mama złapała ciotkę w pól.

- Co ty tu robisz? - zawołał tata i przywitał się z siostrą.

- Jak to co? - rzekła jak zwykle z uśmiechem. - Wpadliśmy z Heńkiem pomóc wam w przeprowadzce, ale widzę, że nieźle sobie radzicie. - Cześć mała! Jak tam leci?" - ciotka poklepała po plecach Julkę „puszczając oko”.

- Dzień dobry ciociu! - zawołała Julka.

- No właśnie - zapytał tata - gdzie on jest?

- Kto?

- Heniek!

- Już idzie - powiedziała ciotka i w tej samej chwili ponownie zaskrzypiały drzwi. Tym razem do kuchni wkroczył mężczyzna z kruczoczarnymi włosami do ramion. Na jego twarzy widniał lekki zarys brudki. Wujek Heniek ubrany był w czarną bluzkę z białym napisem i džinsy. W ręce niósł pudełko.

- Cześć! Niezła chata, to dla was w prezencie od nas...

- Co to jest? - zapytała mama przyjmując prezent z niepewnością.

- Sama zobacz - dodał tajemniczo wujek Heniek. Mama wyciągnęła z pudełka prezent i okazało się, że to jest drewniany żyrandol.

- Cudowny! Dziękujemy!

- Sam go zrobiłem - dodał pokornie wujek Heniek.

Domownicy ugościli przybyszów kawą i wszyscy wzięli się do pracy: wujek Heniek i tata malowali sypialnię, a pozostała rodzinka układała ozdoby w salonie. Kiedy praca w salonie zbliżała się ku końcowi, ciotka Renata wypaliła jak zawsze niespodziewanie:

- Jadę z Julką kupić meble.

- Myślałam, że pojedziemy wszyscy... Nie wiesz, ile możesz wydać i ogólnie..., nie zgadzam się!

- Dorotko, źle myślałaś. Dawaj kartę kredytową i nie marudź. Ty i Jurek nie znacie się na modnych meblach!

- No, nie wiem. Może jednak... Nie, nie, to szalony pomysł.

- No dobrze! Jedźcie póki się nie rozmyśle!

Mama i ciocia załatwiły sprawy dotyczące pieniędzy i Renata z Julką pojechały do miasta. Kiedy wsiadły do samochodu, ciocia zapytała:

- No mała, wal prosto z mostu! Jakie mają być te twoje meble?

- Ciociu...

- Oj, przestań z tą ciocią! Tyle razy już ci mówiłam!

- Mama mi nie pozwala mówić cioci po imieniu.

- To przy rodzicach jestem ciotka, a gdy jesteśmy same, jestem Renata. Okay?

- Okay! - ucieszyła się Julka.

- To jakie mają być te twoje meble?

- No wiesz, chciałabym, żeby były z jasnego drewna z różowym akcentem...

- Nie ma sprawy!

Zwiedziły jeden sklep i nic nie wybrały, drugi - nic, obleciały trzeci - z podobnym rezultatem. W czwartym sklepie też nic nie było. W piątym Julce podobały się jedne meble, ale Renata skomentowała je krótko: Tandeta! W szóstym - nic, w

siódmym - nic... Później poszły na lody i dopiero w jedenastym z kolei znalazły meble - marzenie. Meble miały tylko jedną i częstą wadę - kosmiczną cenę.

- Bierzemy! - zawołała Renata.

- Ciociu! Znaczą się Renata! To są drogie meble. Nie mamy tyle kasy!

Lecz ona bez wahania wyjęła własną kartę kredytową.

- Od czego ma się ciocię? Dołożę ci - powiedziała ciocia Renata.

- Nie! Nie trzeba, te z tamtego sklepu były tańsze! I też ładne!

- Julka nie marudź!

Po załatwieniu kilku formalności meble były już kupione. Renata zaprowadziła Julkę do samochodu i pojechały z powrotem do nowego domu.

- Ciociu..., przepraszam - Renata, nie powinnaś dokładać mi do mebli. Mama mnie skrzyczy, gdy się dowie.

- Musi się dowiedzieć?

- Musi - odpowiedziała bratanica tak stanowczo, że sama się zdziwiła.

- Skoro tak sądzisz, to mam inny plan. Sama się wytłumaczę przed twoją mamą. W końcu to moja bratowa - zapewniała Renata.

- Z twoją bratową nie pójdzie tak łatwo...

- Pomyśl logicznie; jak ty sama mogłaś powstrzymać dorosłą osobę? - pytała, przekonując Julkę - Renata.

Gdy tak rozmawiały i kombinowały, co zrobić, ani się spostrzegły, jak zleciała im droga.

- Jesteśmy na miejscu - obwieściła spokojnie ciocia. Weszły do domu i ujrzały całkiem inny salon, łazienkę i sypialnię.

- Skończyła mi się farba! - ryknął z góry wujek Heniek.

- Jedźcie kupić! - rozkazała mama.

- Tylko jaki kolor? - zapytał ojciec.

- Oczywiście czerwony, prawda Julio?
- Wolałabym jasno-żółty - rzekła bez przekonania pytana.
- Jasno-żółty? Jak to będzie wyglądać?! No pomyśl... Julka!
To ma być twój pokój!
- Przepraszam... - powiedziała z pokorą.
- No ludzie! Dajcie spokój! Nie dacie jej o niczym decydować! - narzekała Renata. - To duża dziewczyna.
- No właśnie... - Heniek poparł Renatę.
- Może jest duża, ale nie na tyle aby mną rządzić! - upierała się mama.
- A czy ona tobą rządzi? Ma wybrać tylko kolor farby!
- Właśnie, Dorota. Ona ma tylko dwanaście lat!
- To co?
- Jak to co? Nie będzie o tym decydować!
- Będzie!

Tak się kłócili, że nie zauważyli Julki, która stała pomiędzy nimi patrząc to na jedną osobę, to na drugą. Nagle oczy napęczniały jej łzami i...

Julka wybiegła z domu trzaskając drzwiami, głośno szlochając. W pokoju zapadła cisza. Słyszał tylko cykanie zegara. Wszystkich zamurowało. Stali jak wryci. - Co się stało? Julia nigdy się tak nie zachowywała... Zawsze była grzeczna, miła, nie odzywała się nie pytana. Płakała tylko wtedy, gdy ją coś bolało... A teraz? Co to miało znaczyć? - wszyscy zadawali sobie te pytania.

- I widzisz, co narobiłaś?! - odezwała się Renata do mamy, która do tej pory jeszcze się nie ocknęła. Nagle otrzęsała się.
- Co ja narobiłam? To ty wszczęłaś tę kłótnię!
- Och przestańcie! - zawołał ojciec, przywołując do porządku panie.

- Nie zastanowiliście się nawet, gdzie poszła! Przecież ona nie zna tych rejonów.

- Racja! - powiedział Heniek. - Musimy jej poszukać. Chodźcie!

Wyszli przed dom. Julii nie było. Zaczęli wołać. Nie otrzymali odpowiedzi.

- Może się rozdzielimy - zaproponowała Renata. - Ja i Jerzy pójdziemy w tamtą stronę, a wy szukajcie w lesie.

- Dobrze! - odpowiedzieli wszyscy.

Tymczasem Julia szła przez bukowy las. Rozmyślała o wszystkim, co działo się w izdebce w ich nowym domu.

- Rozmawiali o mnie, jakby mnie tam nie było. Dlaczego mnie samej nie zapytali o zdanie? Przecież jestem już duża, jak mówi Renata. Mam wrażenie, że mama ma mnie za dziecko... Tak! Traktuje mnie, jakbym miała trzy latka... Tylko mną dyryguje, nie porozmawia. Co innego tata. On ma inny charakter. Ciepleszy. Czuję się tak dobrze, gdy rozmawiał ze mną o pokoju. Mama rzadko tak ze mną rozmawia. Ciocia Renata jest dla mnie dobra. Lubię z nią przebywać, bo uważa mnie za dorosłą. Gdy będę dorosła, to chcę być taka jak ona. Jest ładna, mądra i nowoczesna. Wujek Heniek też jest fajny. Zupełnie taki, jak Renata. I tak jak ona uważa mnie za dużą... Lubię go - takie i inne myśli kołatały się w głowie dziewczynki, która idąc złotą od słońca dróżką, nie zauważyła piękna piątkowego popołudnia. Szła, szła i szła patrząc się w ziemię, aż nagle ujrzała coś, jakby starą fontannę na polance obrośniętej mchem i kwiatami. Podbiegła do tego dziwnego obiektu. To rzeczywiście była stara fontanna. - Ale skąd ona się tu wzięła? Kto budowałby fontannę w środku lasu? Gdy przyjrzała się bardziej, zobaczyła, że polana okrążona jest wielkimi kamieniami. - To urocze miejsce - pomyślała. Czowała się tam bezpiecznie.

Lecz nie tak bajecznie czuli się rodzice i wujkowie Julki, którzy szukali jej z sercem w gardle.

- Jerzy, jak jej się coś stanie? - zamartwiała się Renata.

- Myślisz, że ja się o nią nie boję! - odpowiadał zdenerwowany tata.

Mama nie mogła wydobyć z siebie słowa. Płakała. Żałowała, że była taka oschła i chłodna dla córki. Heniek ciągle wołał:

- Julia! Julka! Odezwij się! Julka! Gdzie jesteś?!" - bez rezultatu.

Tak długo szukali jej, aż w końcu zapadł zmierzch. W lesie było ciemno i ponuro. Julka siedziała przy fontannie trzęsąc się ze strachu. Już nie było jej tak dobrze, jak za dnia. W końcu usłyszała głos: - Julia! Gdzie jesteś?! - to był głos wujka Heńka.

- Mamo, tato - tutaj! - zawołała. Nikt się nie odezwał. Rozpłakała się. Drugi raz zrobiła to samo. Z podobnym rezultatem. Gdy krzyknęła trzeci raz, coś poruszyło się w krzakach. Julce serce podskoczyło do gardła. Nagle z krzaków wyłonił się... tata.

- Tato! - zawołała szczęśliwa Julka.

- Julka!" - zawołali wszyscy uradowani.

HISTORIA RODZINY KINDERÓW

Dawno, dawno temu, była pewna wioska - Smerfowa. Mieszkały tam tylko smerfy. Był tam pewien bardzo mądry i przystojny smerf Henryk. Wiele, wiele lat był wodzem wioski. Lecz od stuleci w wiosce była jedna zasada: mogły w niej mieszkać tylko smerfy.

Pewnego dnia Henryk zakochał się w pięknej sówce - Basi. Za to mieszkańcy wioski, wyrzucili go na zawsze.

Henryk i Barbara wzięli ślub i gdy okazało się, że sowa nie może mieć dzieci, zaadoptowali trzy hipopotamy. Dwóch chłopców i jedną dziewczynkę. Jednego z chłopców nazwali Karol, drugiego Tomek, a dziewczynkę, Hilda. Trojaczki te były bardzo piękne. Wielu ludzi zazdrościło Basi tych dzieci.

Karol został kapitanem statku. Zakochał się w pięknej hipopotamicy i mieli razem dwoje dzieci - Dżulię i Eryka. Wkrótce ich rodzice rozeszli się i dzieci wychowywał Karol.

Tomek postanowił zostać fotografem i do tej pory nie planuje rodziny. Hilda zaś rozpoczęła karierę dentysty i była jednym z najlepszych dentystów w Warszawie. Wkrótce zakochała się w Adamie, przystojnym pandzie. Po roku urodziła dziecko - Kasię. Kasia jest duszkiem. Jest to bardzo ładne dziecko.

Adam jest muzykiem i gra w kawiarni na gitarze elektrycznej.

BASKEJ I PIĘKNA ELFICA

Dawno, dawno temu, lecz może nie tak dawno. Hen, hen daleko, ale może bardzo blisko żył sobie pewien Elf o imieniu Baskej. Był on bardzo smutny i samotny, Nie był to wcale byle powód... Należał on do rodziny Goglinów, czyli złych i okrutnych Elfów. Jego matka była Goglinką z charakteru i z wyglądu. Jego ojciec, jego dziadek, babcia, ciocia, wujkowie...

W pewnym sensie Baskej też był Goglinem. Wyglądał jak Goglin, czyli miał brodawki na całej twarzy i ciele, wielki nos, ogromne uszy, a kolor skóry o odcieniu zgniłej zieleni. Tak wyglądał typowy Goglin. Lecz w sercu małego Baskeja tlił się płomyczek dobra, a Gogliny nie posiadają takiego płomyczka.

Biedaczek nie miał się, do kogo zwrócić z tym problemem. Próbował znaleźć pomoc u mamy, ale cóż mu mogła powiedzieć mama, która sama była Goglinką w każdym calu? Zwracał się z tym do taty, lecz tata pomyślał, że znów nasłuchał się w lesie opowieści od dobrych Elfów. Próbował dosłownie u każdego.

Pewnego dnia poczuł się niechciany i odrzucony. Spakował swoje rzeczy w niewielki tobolek i napisał liścik pożegnalny: „Drodzy Rodzice! Niestety, ale muszę odejść. Nikt mnie nie rozumie... Poszukam zrozumienia w świecie. Kochający Baskej”. I ruszył w daleki świat z nadzieją, że znajdzie u obcych zrozumienie.

Szedł krętymi, nieznanymi drózkami przez upiorne lasy, bagniska, mokradła ze strachem w oczach i łezką w oku. Szedł z niepokojem, ale z krztą odwagi. Dopiero teraz poczuł, że jest naprawdę sam...

Dzień zbliżał się ku końcowi, więc Baskej zrozumiał, że musi znaleźć sobie nocleg. W pobliżu nie było żadnej jaski-

ni czy dziupli w pniu drzewa. Zdecydował, że będzie spał pod gołym niebem. Nigdy wcześniej tego nie robił, lecz zachował zimną krew i nawet nie próbował płakać. Rozpalili ogień na polance i wziął z tobołka koc, na którym położył jeszcze poduszkę, aby było mu miękko. Zjadł zapakowane wcześniej placki z jagodami i poszedł spać.

Noc była wyjątkowo zimna. Baskej nie mając żadnej pierzyny, przez chwilę zatęsknił za domem, za uśmiechem mamy, za ciepłymi dłońmi babci. Ale szybko się otrząsnął z tych marzeń i powrócił do rzeczywistości. - Przecież, jeśli już odszedłem, to nie mogę wrócić. Co by powiedzieli moi bracia? – pomyślał.

Był to głupi tok myślenia, a zarazem na swój sposób dość realistyczny. W końcu zmęczony całym dniem, zasnął. Kiedy się obudził, zobaczył wielki krzak malin. Ucieszył się z tego, gdyż mógł nagromadzić trochę więcej zapasów na drogę. - Widocznie wczoraj nie zauważyłem po ciemku tej rośliny - myślał zadumany Baskej wyciągając się na kocu.

Zjadł trochę tych malin, a resztę zapakował do tobołka i ruszył w drogę. Gdy tak szedł i szedł sobie podśpiewując, zobaczył piękną Elficę o długich, złotych włosach, szmaragdowych oczach i delikatnej jak płatek róży, cerze. Biegała po łące śmiejąc się radośnie w promieniach słońca. Baskej patrzył na nią i nie mógł powstrzymać się z zachwytu. Poprawił koszulę, uśmiechnął się jak najserdeczniej umiał i zapytał:

- Hej, Elficzko! Jak masz na imię?

Lecz Elficzka zobaczyła jego twarz i uciekła z krzykiem w las.

- No tak... - mówił sam do siebie Baskej. - Zapomniałem, że jestem brzydkim Goglinem...

Idąc dalej nie podśpiewywał już tak radośnie. Ogarnął go taki smutek, jak nigdy przedtem. Nadchodził zmierzch. Baskej zasnął bez kolacji w ogromnym smutku. Śniło mu się, że wokół niego latają fioletowe, niekształtne plamy, a w uszach słyszał

ciągle rozpaczliwy głos Elficy. Po jakimś czasie usłyszał upokarzający śmiech. Był to śmiech jego braci...

Baskej pocił się okropnie podczas snu. Wkrótce obudził się z rozpaczliwym krzykiem. Gdy się lekko otrząsnął, postanowił, że musi spróbować dalej spać. Ale to nie było wcale takie łatwe. Próbował na brzuchu, na plecach, na lewym boku, na prawym boku... I tak kombinował aż do rana.

BIEDNA KOBIETA

Dawno temu żyła sobie biedna kobieta. Jej rodzina była wielodzietna. W końcu nadszedł taki dzień, kiedy biedna kobieta nie miała, co włożyć do garnka.

Gospodyni domu poszła poszukać czegoś do jedzenia. Miała nadzieję, że znajdzie jakąś porzuconą kurę lub nabiera jabłek z dzikiego sadu. Kiedy tak szła drożynką do dzikiego sadu, ujrzała pięknego, wielkiego, dorodnego pomidora. Był tak czerwony i soczysty, że szkoda było go nie zjeść, ale nie tylko te cechy były w nim niezwykle. Pomidor miał duży nos i usta. Kiedy zobaczył gospodynię, uśmiechnął się do niej i rzekł:

- Witaj kobieto! Wiem, kim jesteś. Wiem, że ty i twoja rodzina jesteście głodni i szukacie jedzenia. Weź mnie kobieto, bowiem umiem spełniać życzenia.

Gospodyni się zdumiała.

- Jaką mam gwarancję, że mówisz prawdę?

- Tak właściwie... - zawahał się pomidor - to żadną! Musisz mi uwierzyć.

Lecz kobieta była zanadto głodna, aby rozważać słowa pomidora. Rozmyślała: - Taki dorodny pomidor! Rzadko się taki zdarza. Nie będę go słuchała! Zrobię z niego supę.

- Dobrze pomidorze. Wezmę cię do domu - powiedziała podstępnie kobieta.

Gdy dotarli do domu, kobieta zagrzała wodę i zwróciła się do warzywa:

- Chcę, abyś spełnił moje życzenie.

- Proszę bardzo. Jakie?

- Daj mi się ugotować - zażądała.

- Co?!

- To, co słyszałeś!

- O nie! Nie dam się ugotować! Wolę zginąć!
Uciekł przez okno. Tułał się cały dzień i całą noc. W końcu
spadł z kamienia i rozpląszczył się na ketchup.
Taki był los dobrego pomidora i głupiej gospodyni.

WIERSZYKI I PIOSENKI

Zima 2002 roku

Na niebie śnieżne chmurki się pokazały
i na gołą ziemię maleńkie śnieżynki posypały.
Na łąki, na pola, lasy, na drogowe pasy...
Na podwórko wybiegły dzieci.
W każdym dziecku radość z dała świeci.
A gdy napadało śniegu po kolana,
dzieci zaczęły lepić bałwana.
Z nieba zleciała zimowa pani
w ciepłym kożuchu i grubym puchu.
Chłopcy pospieszyli do niej ciepło ubrani,
a zima biała wzięła bałwana za rękę,
a dzieci zaśpiewały im piosenkę...
...I tak, co noc, gdy śniegu po kolana,
przychodzi zima ciepło ubrana.
Bierze wtedy bałwana pod rękę,
a wiatr im śpiewa piosenkę
i tańczą tak do rana:
bałwan i zimowa dama.

2002.05.26.

WIERSZ NA DZIEŃ MAMY

Młoci Mamo co dzień od rana
chodzą ciębie wspominać:

To porządkowa wszystkie kubki,
od języka wygrabi skorupki,
zrobi śniadania, poramniała,
i od rana ciębie lata!

Mama mi na odpoczynek

Gdy jest w miasteczku, to mi kupi coś na wybrzeżu,
a gdy jestem chora, szybko łazi do lekarza.

Robi dzień wspomnień !!!

Dzień w dzień robi piękne listy.

Mamie kąpić trzeba. dzień piękne kwiaty!

- LECZ NIE OD KUCHYNA.

- LECZ NIE OD TATY.

Bo Dzień Mamy dzisiaj mamy!

Wszystkie Mamy my

Kochamy

Wspomnij Mamusi
skromny wiersz od Nikusi!

Na dzień mamy

Moja mama, co dzień od rana
chodzi ciągle zapracowana:
to pozmywa wszystkie kubki,
od jajka wyrzuci skorupki,
zrobi śniadanie, pozamiata
i od rana ciągle lata!

Mama nie ma odpoczynku.
Gdy jest w mieście,
to mi kupi coś na rynku,
a gdy jestem chora,
szybko leci do doktora.
Robi obiad wyśmienity!!!
Dzień w dzień robi piękne kity.

Mamie kupić trzeba dziś piękne kwiaty!
Lecz nie od kuzyna,
lecz nie od taty,
bo dzień mamy dzisiaj mamy!
Wszystkie mamy my kochamy!

Wspaniałej mamusi
skromny wiersz od Nikusi!

Wakacje

Już wakacji nadeszła pora
na szkółkę spójrz ostatni raz,
bo już dawno, już na niebie słońca widać
złoty blask.

Pojedziesz w góry, ciemny las,
i na Mazury też, w parku będziesz pewnie nie raz,
o szkole zapomnieć czas.

Refren: Z rodzicami, czy z przyjacielem,
czy w sobotę, czy w niedzielę
wakacje to fajny czas!

W wakacje pograsz w piłkę,
poskaczysz w skakankę,
nie ważne czy wieczorem,
czy będzie to nad rankiem.

Refren: Z rodzicami, czy z przyjacielem,
czy w sobotę, czy w niedzielę
wakacje to fajny czas!

Gdy skończą się wakacje i pójdziesz
do szkoły, to będziesz długo wspominać
ten czas miły i wesoły!

Refren: Z rodzicami, czy z przyjacielem,
czy w sobotę, czy w niedzielę
wakacje to fajny czas!

Krasnalki

W pewnym lesie żyją krasnoludki i krasnale,
pamiętajcie, że dzieci, które śmiecą,
to dla nich wandale.

Pewnego dnia mały krasnalek idzie przez dróżkę
i widzi na środku dróżki puszkę!
Zezłościł się strasznie krasnalek,
ale idzie dalej.
Widzi małe dzieci,
każdy z nich w lesie wyrzuca śmieci!

Dobiegł krasnalek do króla,
a król na tronie się buja i powiada:
co za dzieci!
Taki mały przedszkolaczek okolicę szpeci!?”

Idzie król do dzieci z orszakiem,
polnym rumakiem i rzecze doń:
o ekologii to wy słyszeliście?
Wszędzie w około naśmieciliście!
Wszystko tu szybko proszę pozbierać,
na wysypisko pozabierać!

Dzieciom się strasznie wstyd zrobiło.
To, co król kazał wypełniły.

A czy z was drogie dzieci,
nikt w okolicy nie śmieci?

Styczeń 2004 roku

Pogoda dzisiejsza jest taka:
choć słońko świeci,
nie cieszą się dzieci.
Mróz szczypie w oczy,
szczypie w uszy.
Drobny śnieżek z nieba prószy.

Dwie połówki jabłka

Połówki jabłka dwie,
przeznaczone sobie są.
I tak samo z każdym jest.
Tak jest, on chce być z nią.
Jak słońce w chmurny dzień,
rozświecasz cały świat...
I jedno słowo twe,
rozgoni myśli złe.
Moc taką w sobie masz!



Myślisz jak kochałaś go

Był taki piękny, przystojny
od razu oczarował cię!
Dał ci bukietik róż,
tyś mu wpadła w ramiona i już.

Potem poszliście na spacer,
on musnął raz usta tve.
Ty ubrudziłaś go szminką,
lecz on wytarł usta swe.

I teraz siedzisz tutaj, tu
z bukietem wysuszonych róż,
na pamiątkę trzymasz szminkę swą.

Potem ci przyniósł pierścionek,
romantycznie oświadczył się.
Ty długo stałaś zadumiona,
lecz w końcu zgodziłaś się.

Poszliście białą alejką
stąpając po płatkach róż.
Ślubował ci miłość, wierność,
wytrwanie do śmierci i już.

Potem zrodziły się dzieci
trzy córki i jeden syn.
Byłaś tak bardzo szczęśliwa
kochałaś go z całych sił.

Później minęły już latka,
minęły uroki twe.
Stałaś się starą babą,
a on porzucił cię!

Później opuścił twą chatę
i zabrał bukietik róż,
wyprowadziły się dzieci
i zostałaś sama tu.

A teraz siedzisz...
ze wspomnieniem o bukietie róż.

Podobałeś mi się

Nie wiem, nie wiem, nie wiem,
czemu zakochałam się w tobie.
Śliczne ubranko, błyszczące oczy
i uśmiech, który teraz
wydaje się śmiesznie uroczy.
Zawsze byłeś moim cieniem
i mówiłeś: jesteś moim pragnieniem.
Teraz nie wiem, czy to przypadek,
czy przeznaczenieeeeeee!

Mamusi!

Pamiętaj, że żadne brylanty,
złoto, szaty i kamienie
nie wyrażą tego,
jak bardzo cię kocham.
Oby ci miłości, szczęścia
i zdrowia nigdy nie zabrakło.

„Dzięki Tobie...”

Dzięki Tobie jestem,
dzięki Tobie żyję.

Dzięki Tobie mam otoczenie,
oczu i szuję.

Tobie to zawdzięczam
i za to dziękuję.

Wiedz, że w każdej chwili
życia Ciebie potrzebuję.



autor: Nicole Zawłocka



Dzięki tobie...

Dzięki tobie jestem,
dzięki tobie żyję.
Dzięki tobie mam głowę,
oczy i szyję.
Tobie to zawdzięczam
i za to dziękuję.
Wiedz, że w każdej chwili
życia ciebie potrzebuję.

♥ "Ty" ♥ ♥

To Ty kochasz mnie
najmocniej!

♥ To Ty dałaś mi życie...

Kocham Cię w słońcu,
w deszczu, ♥♥
♥ w zimie, w lecie,

a nawet ukrycie...

autor: Nicole Zawłocka



Ty

To ty kochasz mnie najmocniej!

To ty dałaś mi życie...

Kocham cię w słońcu

w deszczu

w zimie, w lecie

a nawet ukrycie...

Zawsze bym ci dała
a szczególnie w lecie
wszystko, co sobie zażyczysz
całe ziemskie kwiecie.
Największe prezenty
najmniejsze drobiazgi
nawet piasek wydłubała
z maluteńkiej miazgi.
Wszystko to dla ciebie
wszystko to z wdzięczności
za to, że ty mi dałaś
aż tyle miłości.

ZAMIAST POSCRIPTUM

DROGA MEGO ŻYCIA

Pierwszy zakręt na mej drodze. Nie jestem już dzieckiem. Nie bawię się w malunki w pamiętniku. Wkraczam w życie dorosłe. Posiadam ambicje. Mam życiowy ideał. Czuję, że życie jest po to, aby mu dawać jak najwięcej, a nie być obdarowywanym. Ta przemiana nie kojarzy się z czymś intymnym, nie. Jestem panną. Panną rozważną, niepoprawną romantyczką...

Kocham Życie!!!”

Nicole Zawłocka

SPIS TREŚCI

Nicole!	9
Wzbijała się wysoko jak ptak	10
Pożegnanie z dzieciństwem	11
OPOWIADANIA	13
Dorota	15
Dwie siostry	32
Historia pani Kaliny	37
Nowy dom	62
Historia rodziny Kinderów	71
Baskej i piękna Elfica	72
Biedna kobieta	75
WIERSZYKI I PIOSENKI	77
Zima 2002 roku	79
Na dzień mamy	81
Wakacje	82
Krasnalki	83
Styczeń 2004 roku	84
Myślisz jak kochałaś go	86
Podobałeś mi się	88
Mamusiu!	89
Dzięki tobie...	91
Ty	93
***	94
ZAMIAST POSCRIPTUM:	95

